31761 08822342 5

H. Sienkiewicz

PISMA

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LIX

Warszawa, Druk Piotra Laskauera i S-ki

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM LIX

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ II

Zofia Cybulska
486117
17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1903 г.

CHWILA OBECNA

CZĘŚĆ DRUGA

XVIII.

Młodzieniec złoty i pozłacany. — Cyrk. — Benefis pani Salamońskiej. — Benefisy przyszłości. — Pani Keller i trupa francuska. — Giroflé i Girofla. — Profesor Ruchwaldy i afisze. — Do Warszawy. — Czy sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza funduszami, może być powodem dyskusyi literackiej. — Panna i znak zapytania. — Berlińskie sposoby. — Pomarańczowa skórka i literat. — Złe obyczaje. — Saski ogród. — Gaz i roślinność. — Święta. — Stary obyczaj i nowy współzawodnik.

Czy mamy złotą młodzież? Nie, mamy tylko pozłacaną. Prawdziwy złoty młodzieniec szalał, hulał, pił, grał w karty, wyrzucał pieniądze, umizgał się do kobiet, słowem, popełniał mnóstwo głupstw i niedorzeczności, ale miał jedną dobrą stronę. Oto posiadał żywe uczucie honoru, które było dla niego tem, czem jest pochodnia dla błądzącego w ciemnościach, tem, czem jest złamek masztu dla rozbitka, rzuconego na rozhukane fale morskie. Trzymał się honoru oburącz, a choć życie rzucało nim jak piłką, nie puszczał się. To był jego *canon*. Czasem też wedle

herbowej dewizy: łamał się... nie giął się nigdy. Przytem był to zwykle pan z panów; ot! młody orlik z rycerskiego gniazda. Tradycya nie pozwalała mu zbyt zbaczać z drogi, po której chodzili ojcowie. Swoją drogą, jako stateczny obywatel kraju, nie bywał wiele wart, marnował ojcowiznę, ale błądził zwykle głową, nie sercem. Źródłem jego wad, ale zarazem i niektórych przymiotów było, że jak mówi poeta: «Bujnie czuł za trzech ludzi, a więc żył potrójnie». Owóż więc kipiał nadmiarem życia. Owo poczucie honoru nie zawsze umiało go utrzymać na drodze czystej moralności — wcale nie! Nie chroniło go od lekkomyślności, zboczeń i błędów. Bywał wielkim oczajduszą i urwiszem. Biada ci, nieszczęsna a przystojna kobieto, czy to panno, czy wdowo, czy mężatko, jeżeli spotkał cię na swej drodze! Poczucie honoru nie broniło mu usadzać się na twą cnotę. Biada ci także, brodaty Szmulu, Lejbo lub Lejzorze, jeżeli zbyt natrętnie upominałeś się o swoje, krwawą pracą zarobione dziesięć od sta na miesiąc! Często i nie odebrałeś swego na czas, często i nie wyszedłeś na sucho! Jednak toż samo poczucie honoru, tak elastyczne względem następstw buduarowych i Żydów, bywało nader nie elastyczne pod wielu innymi względami. Nie broniło od głupstw, wybryków, szaleństw, błędów, ale broniło od podłości. Złoty młodzieniec splatał głup-

stwo, ale nie cofnął się, gdy przyszło nadstawić głowy. Sam bałamucił kobietę, ale dał się posiekać w sztuki, gdy chodziło o jej honor. Przytem w żyłach miał ogień zamiast krwi. Pił dobrze, ale bił się jeszcze lepiej. Strzelał się i rąbał, jak prawdziwy szlachcic. Była to dziwna mieszanina szałaputctwa i rycerskości. Gdy przeważała rycerskość, stawał się poetycznym. Prawdziwy złoty młodzieniec ma swoje dzieje. Historya pamięta go, jak strząsając puder i pył bojowy z żabotów, wołał na Anglików: «Panowie, strzelajcie!» Innym razem brał szturmem działa, których nieglansowane rękawiczki wziąć nie mogły. U nas historya złotego młodzieńca ma swoje wieczorynki «Pod Blachą», ale ukazuje go takze na spienionym koniu wśród huku dział, dymu i połysków szabel, jak ranny, ociekły krwią, skacząc w nurty rzeki, szepce umierającemi ustami: «Bóg mi powierzył honor mych braci — Jemu go tylko oddam». Powieść u nas znalazła w nim swego bohatera w osobie hr. Wilczka. Przysłowie mówi: «Krew, jak dobre wino — burzy się za młodu, tężeje na starość». Słowem, złoty młodzieniec ma swoje cechy, swoją tradycyę, swój poetyczny urok, który tem poetyczniejszym się staje, że zwolna pyłem czasu się pokrywa, zwolna zmienia się we wspomnienia, z któremi teraźniejszość i nie idzie, i nie może iść w porównanie.

Albowiem złoty młodzieniec należy już do historyi. Obecnie istnieje tylko młodzieniec pozłacany. A wiecie, czem się różni ten ostatni od poprzedzającego? Oto ma wszystkie jego wady, a nie ma jego przymiotów. Proszę was, czy widzicie tego pseudo-dżentlemena, który oto jedzie na koniu? Kapelusz ma nasunięty na tył głowy, plecy zgarbione, twarz bladą, a nogi tak wysunięte naprzód i tak palcami odwrócone od konia, że zdaje się jakoby nogami błogosławił biedne, chude a długie zwierzę, podobniejsze do przęślnicy niż do bożego stworzenia. Oto dzisiejszy złoty, a raczej pozłacany młodzieniec. Powiedzcież, czy ten dżentlemen ma w sobie coś rycerskiego? Nic! on ma raczej w sobie coś znudzonego. Blady jest, bo nie spał całą noc; nie spał, bo gdzieś w pobliżu Królewskiej grał w karty i przegrał kilka tysięcy rubli. Przytem widocznie jest dziś nie w humorze, może dlatego, że kiedy wstał, to jest o godzinie pierwszej w południe, odebrał jakiś niesmaczny list od plenipotenta dóbr swoich. Jak to, więc on ma dobra? Ma, albo lepiej: miał — i to nie małe. Po ojcach została mu fortuna, co się zowie szlachecka, ale widzicie, jakieś tam trzy części już poszły. Stracił je i, co gorsza, sam nie wie na co stracił. Przegrał wprawdzie sporo, ale nie na grę większa część poszła, ale ot tak, rozlazła się. Żeby był szalał pełną piersią, żeby był wychylił do dna kielich rozkoszy,

ale rozkoszy potężnej, palącej jak płomień, a estetycznej — mógłby przynajmniej kiedyś, robiąc obrachunek z życiem, powiedzieć jak Salomon: Wszystkiegom użył, wszystko widziałem etc. Ale gdzie tam! ten dżentlemen nie umiał nawet i używać. Czy wiecie na kogo tracił i komu zadawał szyku? Oto kelnerom w hotelu, garsonom w restauracyach. Zdarzało się także, że katarynniarzom wyrzucał po sto rubli przez okno. Kosztowali go także niemało guwernerowie, którzy wprowadzali go w życie i obznajmiali z jego tajnikami. Kosztowały go także niemało przedwstępne kroki do serc prymadon baletniczych, które w końcu — o złośliwości ludzka! — wystrychnęły go na dudka. Zresztą sam nie wie, gdzie mu się wszystko jakoś podziewało. Ale prawda! raz musiał dobrze zapłacić skoczka na linie, czy na koniu, od którego, jak twierdzą złe języki, podobno coś oberwał za umizgi do jego żony. I cóż myślicie? Twierdzą, że zniósł to z rezygnacyą! Ha! *tempora mutantur et nos mutamur in illis.* Z jakim przestajesz, takim się stajesz; kto więc żyje za pan brat z klownami, ten się nie obraża o lada co, gdyż, jak wiadomo, klowny nieraz się biją między sobą, a jednak nie obrażają się na siebie. Ale owóż teraz rozumiecie zapewne różnicę między złotym a pozłacanym młodzieńcem. Tamten przy swoich wadach dumny był jak szatan i rycerski, ten

jest mniej dumny i mniej rycerski, a jeżeli jest i rycerski, to chyba względem dam cyrkowych.

Co jednak prawda, to prawda: względem dam cyrkowych jest jeszcze rycerski. Oto jeżeli się zdarzy jaki cyrkowy benefis, to dzisiejszy pozłacany młodzieniec płaci, choćby po sto rubli za lożę. Trzeba się przecie pokazać. *Noblesse oblige*, mówi francuskie przysłowie, a przecie benefisy nie zdarzają się codzień.

Tak jest. Nie zdarzają się one codzień, jednak przy dobrej woli cyrku i publiczności mogą być dosyć częste. Oto naprzykład, mieliśmy niedawno benefis pani Salamońskiej. Na pierwszy rzut oka dziwny to nawet benefis, boć zdaje się, że p. Salamońska, jako żona właściciela cyrku, ma codzień benefis. Bodajże cię! prawda! Jużci dochody z cyrku codzień idą dla p. Salamońskiego i p. Salamońskiej, ale swoją drogą benefis ma tę racyę bytu, że podczas zwykłego przedstawienia płaci się np. loża rubli sześć, a podczas benefisu tak pełnej wdzięków osoby nie wypada szykownej młodzieży dać mniej za lożę, niż rubli srebrem sto. Rozumiane w ten sposób, benefisy wydają się tak racyonalne, że nikt nie powinien się dziwić, jeżeli w przyszłości będzie drugi benefis p. Salamońskiego, trzeci małego Fredego Salamońskiego, a czwarty tych nawet jeszcze mniejszych od Fredego istot, któremi dobrotliwa Opatrzność

może w przyszłości obdarzyć pana i panią Salamońskich.

Tymczasem, nim owe przewidywane benefisy nastąpią, ważne zmiany gotują się w cyrku. Większość osób, składających go do dziś, wyjeżdża, a natomiast przyjeżdżają nowe siły, aby emulować z teatrem, z teatrzykami ogródkowymi i ze wszelkiego rodzaju mniej więcej przyjemnemi i mniej więcej kosztownemi widowiskami, jakiemi obdarza nas corocznie sezon letni.

Z teatrem, a raczej z dwoma, stojącymi naprzeciw ratusza, emulować co lato nie trudno. Dziś już usiedzieć tam niepodobna, a cóż dopiero, gdy nadejdą coroczne upały i poczną wygrzewać grube, ciężkie i zaduszne mury pomienionych gmachów. A jednak znajdują się odważni przedsiębiorcy, którzy chcą przez lato urządzać tam widowiska. Pisma doniosły przed kilku dniami, że przybywa trupa francuska pod dyrekcyą pani Keller i będzie dawała przedstawienia w teatrze Wielkim. Widocznie pani Keller albo nie lęka się gorąca, albo jak większość Francuzów, sądzi, że u nas zima trwa dziesięć miesięcy, a wilki i niedźwiedzie latają po ulicach, napadając niebacznych przechodniów.

Zanim wszakże Francuzi przyjadą, w teatrze — zapewne w letnim — mają niezadługo wystawić buffę Giroflé i Girofla. Nie przesą-

dzając muzyki tej operetki, o której nasz specyalny sprawozdawca muzyczny wyda zapewne sąd odpowiedni, pomówimy o samem librecie sztuki. Donoszą, że jeden z tłómaczów już podobno zajął się przekładem tego arcydzieła, które przed rokiem mieliśmy sposobność oglądać na jednej ze scen zagranicznych. Przypominamy sobie, iż z trudnościąby przyszło między wszystkiemi libretami buff znaleźć choć jedno równie niedorzeczne. Pewni rodzice — ojciec safanduła, matka Herod — mają dwie córki Giroflé i Girofla, podobne do siebie jak dwa ziarnka grochu. Obie panny wychodzą jednocześnie za mąż: jedna za przystojnego Hiszpana, druga za Maura czy Murzyna, prawdziwego afrykańskiego goryla, który ryczy zamiast mówić, wyszczerza zęby, ustawicznie wydobywa z za pasa jatagany; słowem: gotów bić, zabijać, kaleczyć z łada powodu. Tymczasem, natychmiast po ślubie, korsarze porywają oblubienicę goryla. Na szczęście jednak, goryl nic o tem nie wie. Ale rodzice boją się mu powiedzieć, gdyż natychmiast uczyniłby z nich jatki. Cóż się więc dzieje? Oto pozostała Giroflé udaje zarazem i porwaną siostrę. Rodzice szukają porwanej na gwałt, a tymczasem tak manipulują pozostałą, żeby każdemu z nowożeńców zdawało się, że jest w posiadaniu swej małżonki. Hiszpan jednak, który wie, co się dzieje, warunkowo zgadza się tylko na taką rolę dla

swej żony; całem więc staraniem rodziców jest, żeby zastępstwo owo nie wyszło z pewnych nader umiarkowanych granic. Tymczasem innego widocznie zdania jest czarne bydlę afrykańskie, które ryczy na widok nadobnej swej małżonki i nie rozumie, dlaczego ustawicznie ktoś mu wlazi w drogę. Gniew jego wzrasta i już już ma się zmienić w ogólną rzeź, gdy na szczęście zatracona Girofla znajduje się, i wszystko kończy się pomyślnie. Taka to akcya i jej perypetye stanowią treść tej sztuki, którą się Francuzi i Belgijczycy zachwycają, a którą, prawdopodobnie, skłonna do zachwytów Warszawa niemniej zachwycać się będzie, zwłaszcza jeżeli świetność wystawienia dorówna choć w części zagranicznemu.

Co do innych nadzwyczajności, które ustom naszym ani razu przez całe lato nie dozwolą się zamknąć, niepoślednie miejsce zajmuje także słynny magik i czarodziej indyjski, profesor Ruchwaldy, którego przyjazd zapowiadaliśmy naszym czytelnikom w jednym z poprzednich odcinków. Obecnie przyjazd ten zapowiadają już afisze. Na afiszu przedstawiony jest w drzeworycie sam profesor Ruchwaldy, jak trzyma w ręku swoją własną głowę, która to sztuka ma stanowić kwintesencyę jego przedstawień. Sztuka, nie ma co mówić, jest piękna; sądzimy jednak, że wkrótce i my potrafimy jej dokazać. Teraz

profesor trzyma się za głowę, gdy zaś odjedzie, wówczas porachowawszy, ile od nas wyniósł grosiwa, my porwiemy się za głowę, profesor zaś będzie trzymał się za kieszeń. «O miły Albionie mój! — woła, mówiąc o Anglii, Thackeray — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i miotłę poczniesz nazywać miotlą!!» Miła Warszawo! — wykrzykuję i ja śladem Thackeraya — kiedyż nauczysz się trzeźwo patrzeć na rzeczy i nie pozwolisz się wyzyskiwać wszelkiego rodzaju drapichróstom i wydrwigroszom! Oto niedawno kazali ci płacić za słuchanie, jak wyją psy niemieckie przy fortepianie; a gdy się wreszcie za swoje pieniądze przekonałeś, że przy fortepianie wyją tak, jak i bez fortepianu, czyli że przy fortepianie wyją tak samo, jak przy śmietniku na podwórzu — czego zresztą zawsze darmo możesz słuchać, — gdy to mówię minęło, przyjechał Gassner. Gdy ten, dawszy ze dwieście nieodwołalnych przedstawień, wyjechał — przyjeżdża z zapasową głową Ruchwaldy. Widzisz, on ma zapasowe głowy — a iluż z pomiędzy mieszkańców...

No, to znowu inna kwestya, której wolę nie poruszać, w obawie, aby nożyce nie ozwały się echem na jakim stole... choćby redakcyjnym. Nie mówi się o pewnych rzeczach bez niedyskrecyi. Z drugiej strony wiadomo, że np. gdzie panuje epidemia, tam również nie mówi się o niej

wcale, albo przyciszonym głosem, z palcem na ustach. Nie czynię tu żadnych zastosowań, ale wolę być ostrożnym, albowiem od czasu, jak dowiedziałem się, że sposób, w jaki gmina ewangelicka zarządza swymi funduszami, nie może być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej — doprawdy sam nie wiem, o czem mówić wypada, a o czem nie wypada. Patrzcie państwo! A ja właśnie myślałem, że sposób, w jaki gmina nietylko ewangelicka, ale i każda inna zarządza swymi funduszami, nietylko może być, ale i powinien być przedmiotem dyskusyi dziennikarskiej. Rozumowałem tak: gmina otrzymuje zasiłek z loteryi fantowej; na loterye fantowe uczęszczają, bez różnicy, zwolennicy wszelkich wyznań, ani jedno bowiem wyraźnie uczęszczać na fantowe loterye nie zabrania. *Ergo* gminie zasiłek daje publiczność, *ergo* publiczność ma prawo wiedzieć, w jaki sposób gmina zasiłku używa, oraz jakie są najlepsze używania go sposoby. Że zaś, nakoniec, publiczność może dowiedzieć się o tem przez prasę, zatem prasa ma prawo i obowiązek o podobnych rzeczach dyskutować.

Zdaje się, że wniosek prosty i logiczny, a jednak — jak to pozory mylić mogą! Widocznie, jak np. w Miechowie rajcy mają swój własny, miechowski smak artystyczny, który im każe starożytną kościelną kopułę nowożytną statuą

przeciążać, jak w Lublinie i w każdem mieście istnieje miejscowy rozum, tak i w Warszawie każda gmina ma swoją własną logikę, w niczem od ogólnej niezależną. Taka decentralizacya logiczna może mieć nawet swoje dobre strony; dla mnie jednak, jako dla felietonisty, wielce jest niedogodną, nakazuje mi bowiem każdą rzecz inną mierzyć miarą i odbiera zaufanie w felietoniczną wolność mówienia o wszystkiem, o czem mi się tylko mówić podoba.

Onieśmielony w ten sposób, nie wiem np., czy wypada stawić mi pytanie koleżance mej, pannie felietonistce z *Kuryera Codziennego*, dlaczego pisząc bez żartów wcale żywo, ładnie, a będąc przytem panną, podpisuje się znakiem zapytania. Wogóle i panna i znak zapytania, który nie wiadomo, czy przeszłość, czy teraźniejszość, czy przyszłość, czy nakoniec sumę posagową ma wyrażać, jest to kombinacya nadzwyczaj mało sympatyczna i bardzo mało budząca zaufania. W dzisiejszym sceptycznym wieku może to jej, to jest pannie, nazawsze zagrodzić losy, które z pomocą pisania felietonów tylko w nader niedokładny sposób dadzą się ubezpieczyć.

Tak jest! nad nazwą warto nieraz dobrze się zastanowić, albowiem nazwa to rzecz niemała. Gdybyśmy np. nie byli dowiedzieli się uroczyście, że ulica Mazowiecka została przebrukowana na sposób berliński, bylibyśmy pewni,

że jadąc np. po owym bruku dorożką, przycinamy sobie skutkiem trzęsienia zębami język w sposób arcy krajowy, nie zagraniczny. Nie mielibyśmy tej pociechy, którą teraz mamy, że jednak nie rdzewiejemy w pyle, ale idziemy naprzód, wprowadzamy u siebie ulepszenia zagraniczne, które, potykając się na berlińskim bruku, spotykamy i przypominamy sobie na każdym kroku.

A chodzenie po naszych brukach i chodnikach tem obecnie jest niebezpieczniejsze, że zbliża się lato; tanieją pomarańcze, a zatem coraz większa ilość pomarańczowych skórek będzie nam się plątała pod nogami. Oto niedawno z powodu pomarańczowej skórki o mało nie stał się ofiarą wypadku jeden z najstarszych literatów warszawskich. Wywodzi się z tego i piękna nauka moralna, jak to czasem najmniejsza rzecz bywa upadku wielkości przyczyną, i jak okropne są skutki płochości amatorów pomarańcz, którzy, jedząc je na ulicy, nie chowają skórek do kieszeni, czem i gospodarstwu domowemu szkodę przynoszą, i bliźniego upadku mogą być przyczyną. A więc:

Dziatki przestańcie, bo się źle bawicie:
Dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie!

a przynajmniej o nogi i nosy, których sobie rozbijać nie mamy wcale ochoty. Zły to zwyczaj,

ale ileż to jest złych zwyczajów, o których poprawę napróżno wołamy *de profundis!* A naprzykład ogony damskie, a rzucanie niedopalonych cygar i papierosów, a wiele innych? W Saskim ogrodzie już od ogonów kurz — całe tumany nawet, a cóż to będzie później, gdy nadejdą upały — gdy resztki wilgoci wyschną — prawdziwe płucobójstwo, wołające o pomstę do nożyc, z pomocą których możnaby się od ogonów uwolnić.

Ach, ten ogród Saski! Wystawcie sobie, mimo wysileń zarządu, mimo starań i najtroskliwszej opieki, mimo odzierania drzew z kory, obijania starą blachą, obcinania gałęzi... rozwinął się i zazieleniał. Że też to jednak przeciw sile natury przy najlepszych chęciach nic poradzić nie można! Zazieleniał, rozwinął się, niezadługo zakwitnie — i cóż z nim zrobisz? Ptaki także zdrowe. Piją wodę jakby nic, a co który cały zapas wypije, to poczekawszy z godzinkę dla drugiego wróbla się nasączy i tak *langsam, langsam, aber gut.* Do zbytku nie trzeba ich przyzwyczajać — po co się mają rozpijać?

W tych czasach przeprowadzają w ogrodzie rury gazowe. Dotychczas Zarząd mniemał, że istnienie rur, a raczej gaz w nich zawarty, niezmiernie szkodzi roślinności; obecnie jednak Zarząd zmienił zdanie, albowiem ktoś zwrócił uwagę Zarządu, że jeśli gaz zamknięty jest w rurach,

tedy z roślinnością nie może mieć najmniejszego ani bezpośredniego, ani pośredniego związku, a zatem nie może jej szkodzić. Zarząd, puściwszy w ruch odpowiednie organy myślenia, doszedł po lekkiem wysileniu pomienionych organów do tego samego wniosku, i obecnie rury złożone w ogrodzie zostaną lada dzień zakopane, a prawdopodobnie byłyby już zakopane, gdyby nie święta.

Owe święta przypominają mi, że wypadałoby zdać jeszcze sprawę naszym czytelnikom z zabaw i uroczystości na Bielanach. Brak jednak miejsca nakazuje nam odłożyć na później sprawozdanie. Miały owe zabawy współzawodnictwo w zabawach Ujazdowskich. Starożytny obyczaj musiał walczyć z nowym, ale jeszcze stary zwyczaj odniósł zwycięstwo właśnie dlatego, że jako starszy, milszym był sercom Warszawian. Czy i w przyszłości tak będzie? Zapewne. Zresztą potem o tem.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 105 z dnia 18 maja.

XIX.

Historya wąsów. — Hołdy mazowieckie. — Co będzie dalej? — Ruchwaldy. — Sezon letni. — Ogólna ociężałość. — Ciało kupieckie. — Reprezentanci. — Zarząd szpitala na Pradze i fantowa loterya w parku Aleksandryjskim. — Telegrafiści. — Depesze. — Sezon pożarny.

Kiedy pewnego poranku młody jeden tutejszokrajowy dżentlemen, który udawał angielskiego lorda, to jest bawił się w ten sposób, że się nudził, wyjrzał przez weneckie okno na dziedziniec swego pałacu, ujrzał tam widok, na który zimno go przeszło od stóp do głowy.

A jednak w widoku owym nie było napozór nic okropnego. Na dziedzińcu stangret Jan czyścił spokojnie elegancki angielski powozik. Powozik był jakby prosto z igły, a Jan nie mógł obrazić niczyich oczu. Chłop był rosły, piękny, pleczysty, prawdziwy mazur — do koni sprawny. Na koźle wyglądał jak świeca. Polewał oto sobie właśnie wiaderkiem koła powozu czystą wodą, a polewając nucił po mazowiecku:

Kiedy orzech czerwienieje, czerwienieje!...

Chwilami przerywał robotę, odstępował parę kroków, przypatrywał się z zadowoleniem kołom, a potem śpiewał znowu:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Dżon! — zawołał po angielsku tutejszokrajowy lord.

Ale Jan dwa dni dopiero był w służbie, nie zrozumiał, że to do niego — chlusnął jakby nigdy nic wodą na koła i śpiewał:

Kiedy orzech czerwienieje! czerwienieje!...

— Jan, do milionset d...

— Słucham jaśnie pana.

— Co to jest? — spytał lord, wyciągając rękę w kierunku nosa Jana.

Jan spojrzał na siebie, na pana i nie wiedział o co chodzi.

— Co to za obrzydliwe wąsy! — mówił dalej lord Goddam. — Zgolić mi to natychmiast! Rozumiesz? Zgolisz, albo ze służby!

Janowi markotno się jakoś zrobiło na duszy. Bo żeby on to przynajmniej zrozumiał, dlaczego mu kazali golić wąsy? No! — ale on obyczajów angielskich nie znał. On sobie myślał, że toć to wstyd, by zasie taki chłop rosły miał gołe jak pięść lice i rozumował sobie po mazowiecku, że «przez obrazy Boskiej» wąsisków

obrzynać nie może. Bah! Ale tu inaczej służbę stracisz, a tu służba dobra. Podrapał się nieboraczysko w głowę — co zresztą było także bardzo *shoking;* skłonił się panu i, nie rzekłszy słowa, odszedł kończyć mycie powozu. Ale kończąc mycie, myślał i myślał. Służba bo to i dobra, ale i obraza Boska także nie żarty. A przytem myślał sobie jeszcze Jan, żeć on to nie żaden «mechanik ni fizyk», by się miał na śmiech ludzki podawać. Ot i ta np. Jagusia, pokojówka od jaśnie pani, co to się tak uśmiecha do niego, że ile razy na nią spojrzy, to mu się tak miło robi, jakby się napił czego gorącego — co ona powie, jak go bez wąsów zobaczy? Wyśmieje chyba, wyśmieje, jak Bóg na niebie! Ha! trudna rada. Niejeden pałac na świecie, niejeden pan i niejedna służba. Niech się więc dzieje wola Boża — myśli — trzeba będzie podziękować za służbę.

Jak pomyślał, tak i zrobił, choć mu żal było. Szczęściem, niedługo poczekawszy, znalazł sobie drugą służbę. Nie była ona tak dobra, jak pierwsza, bo choć równie dobrze płatna, ale, jak miarkował Jan, nie u takiego wielkiego pana, tylko u kogoś innego. Co tu jednak przebierać? Dzięki Bogu i za taką. Myślał już Jan, że się wybawił z kłopotu, aż tu po dwóch dniach wołają go do pana.

— Co ty Jan? — mówi nowy pan do niego. — Co ty Jan? Co ty sobie myślisz z takimi wą-

sami? To nie jest eleganckie. To nie jest żaden szyk, to wcale nie jest po angielsku. Ty Jan musisz mi zaraz takie wąsy ogolić, bo inaczej ja czebie ze służby wypędzę.

W Jana jakby piorun uderzył. Wyszedł z pokoju, grzmotnął czapką o ziemię. Biedak nie wiedział, że nowy pan daleko jeszcze ściślej trzymał się mody niż dawny. Zapłakał mazur nad swoimi wąsami. Ale cóż tu i robić? przecie nie pójdzie kraść, ani żebrać. Przecie z głodu nie może umrzeć. Ha! Raz kozie śmierć, mówi chłopskie mazowieckie przysłowie. Pod wodę nie popłyniesz. Wziął więc Jan czapkę i poszedł do cyrulika.

Cyrulik spojrzał się nań podejrzliwie. Ogolić wąsy? Hm! hm! bardzo dobrze! Kto jednak chce takie piękne wąsy golić, ten dyable musi mieć do tego przyczyny. Po ogoleniu takich wąsów, ani rozpoznasz, że to ta sama twarz, — ale właśnie może o to chodzi, żeby twarzy nie rozpoznać.

Cyrulik rozrobił więc mydło, ale poprzednio szepnął coś chłopcu do ucha, potem uchwycił klasycznie Jana za nos, umalował mu dobrze pół twarzy na biało i począł golić.

Gdy skończył, spojrzał Jan w lustro i aż za głowę się pochwycił. Oj! dolaż jego, dola! A toć on do stworzenia Boskiego niepodobny, a Jagusi to się już i na oczy nie pokaże. Radby zapła-

kał był, ale że wstyd przy ludziach, zapłacił więc, i chce wychodzić, aż tu:

— Stój!

Jezus, Marya! i anieli niebiescy! a toż to policya go bierze. — Jak? co? za co? dlaczego? Prowadzą go — sam nie wie dokąd. Mówią, że kogoś zabił, czy coś podobnego? Nic nie pomoże. Przyszła widać ostatnia jego godzina. Zaprowadzili go do sędziego, aż tam pytania, badania, a potem śmiech, i dopiero cała sprawa się wyjaśnia.

Oto jest historya Jana, za której autentyczność ręczymy. Całą tę sprawę możnaby jeszcze nazwać historyą mazowieckich wąsów, złożonych na ołtarzu mody angielskiej.

Czy wielki magik da jeszcze jakie przedstawienie? godzi się wątpić. Sala w resursie kosztuje, a tu na wypadek wyczerpania się pieniędzy do domu ma daleko; darmo zaś nawet największym magikom nigdzie na świecie jeść nie dają. Powodem jego niepowodzeń jest także, a może przedewszystkiem gorąco, jakie panuje w sali resursy, gorąco bez porównania bardziej indyjskie, niż sztuki pana Ruchwaldy. Magikowi jednak prawdopodobnie mimo tego gorąca zimno się zrobiło na widok liczby widzów.

Sezon letni zbliża się już na dobre. W życiu miasta cechuje się on brakiem faktów, około których snuć można przędzę felietonową i pewną

ociężałością, ogarniającą tak oddzielne jednostki jak i całe, choćby najpoważniejsze korporacye. Czy podobnej ociężałości na skutek upałów uległo ciało kupieckie miasta Warszawy? trudno zaiste stanowczo orzec. Inni twierdzą, że jest to stan normalny ciała, z którego nie wychodzi nigdy. Co do nas, nie chcemy robić z tego wielkich rzeczy. Że z dziewięćdziesięciu reprezentantów tegoż ciała, mających obowiązek brać udział w zgromadzeniach wyborczych, zasiada na owych posiedzeniach tylko po czterdziestu, niekoniecznie dowodzi to jeszcze ociężałości. Dlaczegoż nie mamy przypuścić np., że reprezentanci ciała kupieckiego tak są przeniknięci duchem zgody i jednomyślności, że czy ich przyjdzie na posiedzenie dziewięćdziesięciu czy dziesięciu, rezultat zawsze będzie jednakowy i łatwy do przewidzenia? Jest to nawet tem prawdopodobniejsze, że tylokrotnie rzeczywistość sprawdzała już podobne przypuszczenia. Zdarzyło się raz na pewnem posiedzeniu zbiorowem, że gdy prezes zapowiedział: Panowie, kto się nie zgadza, niech siądzie; kto się zgadza, niech podniesie ręce! — całe zgromadzenie naraz naprzód usiadło, a potem podniosło ręce. Poprostu zgromadzenie zdrzemnęło się odrobinkę i zbudzone dość nagle, sądziło, że trzeba uczynić jedno i drugie. Zresztą weźmy na rozum: jeżeli chodzi o drzemanie na posiedzeniach, to czyż nie wszystko

jedno, czy drzemać czterdziestu ośmiu, czy dziewięćdziesięciu? W niczem nie trzeba pedanteryi, a tu tem więcej, że mniejsza liczba może się również pożytecznie wywiązać z zadania, jak i większa. Jeżeli zaś chodzi o to, żeby nie spać, a zatem tylko poziewać, to tembardziej wszystko jedno, czy dziewięćdziesiąt, czy czterdzieści ust na korzyść się otwiera i zamyka. Przy wyborach kupieckich niema zwykle ułożonego programatu, nie tworzą się komitety wyborcze, na co narzekania odzywają się od czasu do czasu w gazetach. Ależ, moi panowie, ileż to roboty? Czyż nie lepiej i nie wygodniej jest przyjść na posiedzenie, wziąć od kogo listę, podkreślić dwa lub trzy nazwiska, pierwsze z brzegu, a potem wrócić do sklepu, czy do innego jakiego zajęcia, byle być u siebie, nie zaś pocić się w ścisku, w którym gildyi nawet rozpoznać nie można.

Spodziewamy się, że ciało kupieckie, a raczej ci jego reprezentanci, którzy na zgromadzeniach wyborczych nie bywają, których tak obchodzi, kto będzie starszym zgromadzenia lub sędzią trybunału, jak mnie: co myśli Zarząd gminy ewangelickiej o prawach prasy; spodziewam się, powtarzam, że ci będą mi wdzięczni za walkę, jaką w ich imieniu z pewnym, nie dość dyskretnym wyborcą stoczyłem. Spodziewam się również, że nie zaprzeczą mi prawa

mówienia o tem, w jaki sposób odbywają się posiedzenia wyborcze; w takim razie bowiem musiałbym obszerniej praw swych do mówienia o tak ważnym przedmiocie dowodzić, co znowu mogłoby sprowadzić nowe zatargi między prasą a pomienionym zarządem gminy ewangelickiej, który raz już w imieniu podobnej sprawy kruszył kopię.

A propos gminy, szpitala i dobroczynności niechaj nam wolno będzie wspomnieć choć kilku słowy o projektowanej loteryi fantowej w Parku Aleksandrowskim na korzyść szpitala praskiego. Co to jest ten szpital praski? Oto ostatni nieraz przytułek największych biedaków, najuboższych mieszkańców Pragi. Życie ich nieraz głodne a chłodne, jak fale wiślane, zarobek nie częsty, a praca, gdy się zdarzy, to ciężka. Dużo, dużo kryje się prawdziwej nędzy na Pradze, ale że nie tak stoi na oczach, więc mniej o niej wiemy, a co prawda mniej ją wspomagamy. Nawet i pracująca ludność robotnicza uboższa tam jest niż w Warszawie. Gdy przyjdzie choroba, nędza zagląda do izby najpracowitszego nawet robotnika. Wówczas już tylko szpital pozostaje, jako ostatnia na ziemi pociecha, jako ostatnie schronienie. A gdy szpital nie ma miejsca, lub nie ma funduszów, gdy nie może przyjąć chorego, wówczas los jego staje się nad wszelki wyraz twardym i rozpaczli-

wym. Sympatyczny więc to cel loterya na korzyść szpitala, i mamy nadzieję, że Warszawa zechce ją poprzeć. Panie miłosierne mają piękne pole do zużytkowania swego czasu i pracy. Loteryi niezmiernie chodzi o fanty; dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że tylko wielka ilość i dobór fantów ściągają liczniejszą publiczność, która pragnie bawić się, ale przedewszystkiem coś wygrać. Owóż więc zbieranie fantów, dostarczanie ich zarządowi loteryi jest największą pomocą, z jaką można mu przyjść w tej chwili. W sam dzień loteryi nie zbraknie zapewne chcących przyjść z pomocą przez kupowanie największej liczby biletów.

Wreszcie sami mieszkańcy Pragi mogliby już dostarczyć niemałego kontyngensu. Urzędnicy drogi żelaznej Petersburskiej, a zwłaszcza Terespolskiej, urzędnicy biurowi, a nakoniec telegrafiści w loteryi najżywszy zapewne wezmą udział.

A propos telegrafistów, ale nie praskich, tylko warszawskich, z ulicy Królewskiej — czy czytaliście w gazecie naszej pochwały, oddawane nadzwyczajnej ich uprzejmości względem interesantów, przychodzących telegrafować! Ta uprzejmość dochodziła już w ostatnich czasach do tego stopnia, że niejeden wolał zrzec się wysłania depeszy, byle nie być wystawionym na dowody tak wielkiej grzeczności, która mi-

mowoli dawała mu do myślenia, czy telegrafowanie czyli wogóle wysyłanie depesz nie jest czasem istotnie czemś nagannem, zasługującem na lekceważenie i pogardę ze strony samychże telegrafistów. Ale mniejsza już o telegrafistów, od których przejdźmy do telegrafów, czyli do depesz o pożarach, jakie z wielu stron poczynają przychodzić z prowincyi. Jesteśmy w sezonie, któryby można nazwać pożarowym. Tu i owdzie, w miejscach aż nadto wielu syczały już płomienie pożerającego żywiołu. Klęska ta, niby zaraza, nawiedza nas teraz corocznie — ale zaraza sama przychodzi i odchodzi — pożogę zaś najczęściej chciwość lub złość ludzka sprowadza. Miliony i miliony idą z dymem corocznie — a ileż to łez i nędzy ludzkiej woła corocznie o pomstę do nieba? Tak, jesteśmy w strasznym sezonie pożarowym. Wiosna uśmiecha się nam z nieba; świeci przejasne słońce, bzy kwitną, wszystko się weseli, odżywia i cieszy — jednocześnie czyha na nas wróg — ogień. Nie zasypiajmy więc i pomnijmy, że tylko czujnością, energią i własną pomocą możemy się od niego wybawić lub spustoszenia jego zmniejszyć.

Gazeta Polska, 1875, Nr 110 z dnia 24 maja.

XX.

Piękne widoki. — Procesye. — Wielkości widziane na odległość. — Na wyżyny! — Teatr letni. — Ciemności i naftowe latarnie. — Poranek dramatyczny. — Kopernik. — Teatry ogródkowe. — Charakterystyka. — Teatry jako szkoły. — Dumas syn. — Do dyrektorów. — Cyrk Salamoński, Warszawianin i ogród Zoologiczny. — Fantowa loterya. — Rozhukane miłosierdzie. — Panna Marie. — Profesor Ruchwaldy. — Cygan w Łazienkach.

Jeżeli dawno, mój czytelniku, nie pasłeś oczu swych pięknym widokiem, tedy daj mi rękę i pójdź za mną. Wejdziemy na jaką wieżę, naprzykład na Świętokrzyską, i z tej wysokości spojrzymy na miasto. A wszak to dziś dzień Bożego Ciała. Na dole w mieście zwykle oczom tak ciasno, piersiom tak duszno, a nudno, a smutno! Dlaczegóż choć raz nie odetchnąć swobodniej, nie potoczyć okiem szerzej?... tam taka samotna, powietrzna wyżyna! Pójdźmy!

Otóż już i jesteśmy. Pod stopami naszemi biegnie łukowato zagięte ku Wiśle Krakowskie Przedmieście. Widać wszystko jak na dłoni. Pod

nami Kopernik z globusem w ręku, jakby z tęsknotą spogląda ku górze — dalej szeregi domów, a dalej jeszcze na końcu ulicy król Zygmunt z mieczem i krzyżem, których już nie rozeznać z odległości. Dziś uroczystość Bożego Ciała, więc na ulicach stoją ołtarze; widać ich szereg cały. Strojne w kwiecie i zieloność widnieją niby majowe wysepki. U stóp ich rozlewa się ogromna czarna fala ludu, która kołysze się zwolna, a rośnie i potężnieje z każdą chwilą.

Ach! jakże widać wszystko dokładnie! Oto procesya rusza w tej chwili. Pod czerwonym baldachimem postępuje zwolna ksiądz z monstrancyą. Fala ludu porusza się: widać dziewice w bieli, sypiące kwiaty przed baldachimem; szeregi świateł jarzęcych migocą błędnymi płomykami, nad ciemną masą ludu wyskakują w górę, niby różnobarwne kwiaty, chorągwie cechowe. Światła, dymy kadzideł, deszcz kwiatów, wołanie dzwonków i dzwoneczków, gwar i uniesienie uroczyste, wszystko to upaja i podnosi duszę ku niebu. Rozkołysano wielkie dzwony, jakby na gwałt; zda się, powietrze samo drży śpiżowymi tonami, a wiatr niesie je daleko, daleko, za Wisłę, na pola okoliczne, na bory, na lasy... Chwilami, jakby zgięty kłos, chylą się przed Sakramentem światła i barwiste chorągwie; z piersi tłumów zerwie się pieśń ogromna: «Do Ciebie, Panie!» Słowa łączą się z biciem

dzwonów, mącą się z dymami kadzideł i niby wielki chorał, złożony ze słów, dymów i śpiżowych dźwięków, na skrzydłach wiatru lecą ku niebu. Chwilami znowu cichną i dzwony i pieśni. Cisza! zda się, że słyszysz szelest trącanych powiewem listków brzezinowej gałązki zdobiącej ołtarz. Nad miastem przelatują drobne pierzaste chmurki, światło słoneczne łamie się na gzymsach murów, ołtarzów, na złoconych dzidach chorągwianych; czasem silniejszy powiew targnie raz i drugi chorągwią — i znów cicho. Są to chwile niby skupienia wewnętrznego, niby pobożnych rozmyślań, albo też pobożnych zachwytów. Wielka kopuła niebieska zdaje się gdzieś, w niezmiernych głębokościach, uśmiechać dobrotliwie, poważnie a kojąco. Dlatego takie chwile ciszy zdają się zarazem chwilami ukojenia i słodyczy, przejmującej wszystkie serca.

Zwolna jednak kończy się wszystko; ludzie poczynają się rozchodzić; bruk, przed chwilą jeszcze zupełnie pokryty stopami ludzkiemi, poczyna się wychylać coraz większymi płatami, chorągwie i światła znikają, ulice puścieją coraz bardziej i wreszcie wszystko poczyna przybierać zwykłą miejską barwę, niezbyt uroczą i niezbyt poetyczną.

Ale nie opuszczajmy jeszcze choć przez chwilę naszej powietrznej wyżyny. Jakże tu

musi być dobrze i pięknie wieczorem, gdy słońce kloni złotowłosą głowę za krańce widnokręgu, a na ciemnym wschodzie błyska jedna i druga gwiazda! W mieście znów ruch się wzmaga; chodnikami płyną strumienie ludzi, środkiem ciągną w stronę Alei i Łazienek szeregi powozów. Nad ulicami unosi się kurzawa, niby tuman mgły rdzawej albo dymu. Gorąco tam, duszno, parno, a tu tak powietrzno, przestronnie, chłodno, surowo. Zresztą dobrze jest czasem spojrzeć z wysokości na codzienne sprawy ludzkie, a i na ludzi samych. Jakże małemi wydają się naprzykład niektóre nasze znakomitości miejscowe, widziane choćby tylko z takiej wysokości, jak Świętokrzyska wieża; nasi wielcy filantropowie, przytulający wszelaką nędzę z taką siłą, że aż jej oczy na wierzch wyłażą; nasi *patres et conscripti* wszystkich towarzystw i komitetów, głosujący przez zastępstwo, chorujący na niestrawność, a skorzy do dawania rad prasie, co może, a co nie może być przedmiotem dziennikarskiej dyskusyi; nasi powszechnie uznani mówcy zebrań, rozpoczynający zawsze od słów: «Panowie! Zgromadziliśmy się tu» i t. p.; nasze filary postępu, opiewanego wierszem i prozą, nasze tromtadraty literackie, grające na trąbce dobra publicznego pobudkę do «jak najrychlejszego» składania prenumeraty we własnym interesie prenumeratorów; nasze tarany do

bicia zakwestyonowaną zresztą głową w zapleśniały mur ciemnoty; słowem: cały ów nasz panteon, który, widziany z blizka, świat nam przesłania, maleje tak, że go zaledwie gołem okiem rozpoznać można. Pod naszemi oczyma przechodzą w lewo i w prawo te olbrzymy, i o dziwo! wydają nam się robaczkami. Ach! warszawscy moi czytelnicy, na wyżyny wchodźcie — zapraszam was. Na wyżyny jak najczęściej! Stamtąd nietylko nasze mury cuchnące widać, nasze rogatki, nasze małomiejskie kłótnie i burze w łyżce wody. Tam horyzont szerszy, atmosfera jaśniejsza; w blaskach zachodzącego słońca widać Wisłę rodzoną, a tam pola i łąki, i wierzbowe gaje, i lasy i bory, szare strzechy wieśniacze i szeroki szmat kraju całego. Na wyżyny, o czytelnicy moi, na wyżyny!

Co do mnie, choć ze smutkiem, Bóg widzi, zejść muszę, by choć jaką taką zebrać garść nowin do «Chwili obecnej». Muszę zejść w ciemne i duszne ulice grodu naszego, choćby dlatego, że oto rozpoczęły się już przedstawienia w Letnim Teatrze, które się o wzmiankę upominają. Saski ogród stoi tedy do późnej nocy otworem, i po staremu powraca się z teatru, jeśli noc ciemna, od drzewa do drzewa, instynktem więcej kierując się i pamięcią niż oczyma. Czasem, naoślep idąc z wyciągniętemi rękoma, trafisz na głowę bliźniego, idącego przed tobą; czasem

idziesz sobie w najlepsze, aż tu czarna jakaś postać zamajaczy ci niewyraźnie przed oczyma; nagle ktoś łapie cię za nos, i poczuwszy, że miękko, mówi przestraszonym głosem:

— Och, przepraszam, ja myślałem, że to gałąź!

— Hę? co?

— Myślałem, że gałąź. Tak ciemno!

— Ciemno?

— Bardzo przepraszam. Mogliby też już tę drogę oświecić.

— Kiedy to u nas wszystko tak... Jezus Marya!

— Co to?

— Drzewo. Rozbiłem się o drzewo.

Czasem znów, jeżeli z teatru wyszedłeś z towarzyszem lub towarzyszką, przez drogę z całem zaufaniem opowiadasz im jakieś sekrety lub sprawy natury domowej, aż tu przy bramie, gdy światło latarni was obleje, spostrzegasz z przerażeniem, żeś towarzysza zgubił, a szedłeś z kim innym, a co gorsza, może z kim znajomym, który tych sekretów nie powinien był wiedzieć. Źle do licha! Wystawmy sobie młodzieńca, opowiadającego w najlepszej wierze mężowi sukcesy, jakich się spodziewa u jego żony; albo ojca familii, który z całem zaufaniem pochyla się do ucha konkurenta jednej ze swych córek i, sądząc, że mówi do córki, pyta:

— Kiedyż ci się ten cymbał oświadczy?

Bywają położenia drażliwe i *qui pro quo* jeszcze drażliwsze. Zarząd ogrodu, czy też Letniego Teatru, ma zamiar podobno zapobiedz nadal podobnym wypadkom przez zaprowadzenie szeregu latarni naftowych. Dlaczego nie gazowych? Oto wkopanie rur gazowych ma podobno szkodzić roślinności.

Z tem wszystkiem przedstawienia już się rozpoczęły; ludzie po staremu uderzają nosami o drzewa, a latarni jak niema tak niema. Obiecanka cacanka. Jeśli już mają je postawić, dlaczegóż nie zostały postawione przed rozpoczęciem letniego sezonu? Dlaczego?

Odpowiedź nie trudna. Od przeszłego lata — rozumował sobie Zarząd — zapomnieli już ludzie, jak to niemiło wracać po ciemku i przewracać koziołki przez baryery; gdyby więc latarnie postawiono przed rozpoczęciem przedstawień, nie umieliby cenić jak należy dobrodziejstwa, gdy zaś spróbują parę razy wracać po omacku, dopiero potrafią w całej pełni odczuć wyświadczoną sobie usługę.

Odpowiadam w imieniu publiczności: Jużeśmy spróbowali — prosimy o latarnie!

W niniejszym letnim sezonie teatralnym czeka nas jedna nowość. Oto p. W. Rapacki urządza poranek artystyczny, na którym będzie czytany jego dramat p. t. «Kopernik».

Udział w czytaniu weźmie tyle osób, ile ich wchodzi do dramatu; będzie więc to coś w rodzaju próby czytanej. Jest to istotna nowość; do tej pory bowiem nikt podobnego poranku nie urządzał, a nowość ta byłaby nawet pożądaną, gdybyśmy byli pewni, że na porankach podobnych będziemy słyszeli same tylko — ale wyłącznie same arcydzieła, a do tego przeważnie takie, których publiczność nie zna i nie ma poznać ze sceny. Inaczej bowiem urządzenie poranku dałoby tylko zły przykład. Gdy raz wrota się otworzą, posypią się poranki i wieczorki i podwieczorki. Każdy, kto tylko cokolwiek napisze, zechce później odczytywać, a te specyały spożywać będzie nieszczęśliwa publiczność. *Utinam sim falsus vates!* Zresztą, co do «Kopernika», nie przesądzamy sprawy: zobaczymy i mamy otuchę. W każdym razie, czy próba wypadnie źle, czy dobrze, zawsze to woda na felietonowskie koła.

Nareszcie rozpoczęły się już przedstawienia teatrów ogródkowych, a rozpoczęły się pod podwójną dobrą wróżbą, bo przy natłoku publiczności i na cele dobroczynne: na szpital Jana Bożego, na sieroty pod opieką dobroczynności i tym podobne. Teatry te, zwłaszcza Eldorado i Alhambra, urządzone są nietylko wygodnie, ale nawet wykwintnie. Dość wykwintne krzesła, pokrycie nad głową, schludna scena, ocho-

cza publiczność — i czegóż więcej potrzeba? Teatrzyki te dziwny dla publiczności naszej mają urok i ponętę. Ileż to w tem wszystkiem swobody i jakże barwista ich charakterystyka! Teatr i bawar — dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiaździsta nad głową — cóż to za sprzeczne żywioły! W krzesłach widzowie z kapeluszami, ponasuwanymi na tył głowy; za baryerką publika prostoduszna, zapalna, ciekawa, wołająca co chwila: «Głośniej! głośniej!», nie ustępująca z placu w ciekawszych miejscach nawet w czasie ulewy, skłonna do oklasków, a niecierpliwa. Wreszcie cóż to za mieszanina! Tam młodzi panicze specyalnie przyszli dla brylantowych oczu panny Czesi. Rozmawiają właśnie po francusku, przyczem, niedościgniony w rzeczach szyku *prince* Lolo przeciera binokle, a «rozkoszny» *comte* Joujou schwyciwszy się za stopę jednej nogi, zakłada ją na kolano drugiej, pozwalając przytem podziwiać gawiedzi swoje prawdziwe *fil d'Ecosse* skarpetki; tam kilku szlachty o opalonych, koloru miedzi obliczach i pogodnem wejrzeniu, rozprawia «mościdobrodzieju» o cenach wełny, zamiast o sztuce, i o zasiewach, zamiast o aktorach. Dalej grupa kantorowiczów, poubieranych wedle ostatniej mody, w kołnierzyki, jakie się tylko w *Journal Amusant* widzieć dają, rozmawia z cicha, i tylko od czasu do czasu można usłyszeć w «nacyo-

nalnym langażu» wymówione: «żewu zasiur, Michasz», albo «antrnusuadi, Staszu!» Dalej kilku literatów; dalej urzędnicy. Za baryerą słychać narzecze z Franciszkaner-Gasse. Tam znów komety z demi-mondu, chrzęszcząc sukniami i szczebiocąc, rzucają błyskawicowe z czarno obwiedzionych oczu spojrzenia. Gdzieindziej kilku rzemieślników kłóci się z Żydkiem o miejsce blizko filaru; nad głową szeleszczą liście drzew, od strony bufetu groźne nawoływania; słowem: mieszanina głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień, istna wieża Babel z ludzi, połączonych z sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki.

To jednak pewne, że nikt się nie bawi tak szczerze i serdecznie, jak właśnie owa zabaryerowa publiczność. Teatry ogródkowe mogłyby dla niej być prawdziwą szkołą moralności.

Dyrektorowie jednak powinni pamiętać, że jeżeli z jednej strony należy się do pewnego stopnia do smaku publiczności stosować, to z drugiej strony należy i trzeba koniecznie smak ten w kierunku najszlachetniejszym wyrabiać. Jest to po prostu obywatelski obowiązek. Teatr psuje ludzi, ale i teatr ich podnosi. Za cesarstwa, we Francyi, do rozmiękczenia obyczajów, do upadku moralności, do roznerwowania i skarlenia młodej generacyi, przyczyniły się w znacznej części teatry, które pobłażały złym skłon-

nościom, nie chciały czy nie umiały uczyć, pragnęły bawić tylko, usypiać i głaskać. Zamiast podawać proste i zdrowe ziarna moralności, filozofowały przez usta Dumasa syna, kto, komu, mąż żonie, czy żona mężowi ma prawo w razie wiarołomstwa głowę ukręcić: wolały na męża: «Wal ją, bo to małpa!» — lub: «Przebacz nieszczęśliwej!» Nikczemna to filozofia, przyjmująca wiarołomstwo i rozkład rodzinny, jako fakt w praktyce życia już spełniony. Nikczemna filozofia!!! Szuka niby lekarstwa na wiarołomstwo, a oswaja z niem i zapoznaje tych, którzy go nie znali; poddaje myśli tym, którzy ich nie mieli, i zamiast koić rany społeczne, jeszcze je rozdrażnia i zaognia.

Dlatego też przedewszystkiem zastrzegamy się przed Dumasem synem. Nie znam utworów, któreby na zepsucie smaku ogólnego silniej wpływać mogły, zwłaszcza tam, gdzie trafiają na umysły niewykształcone, proste i łatwo otumanić się dające błyskotliwą szatą paradoksów, wrzekomo szlachetnemi uniesieniami i czynami, pseudo-poświęceniem i pseudo-uniewinnieniem jednostki w imię wadliwego ustroju społeczeństwa.

Wprawdzie dyrektorowie mogą odpowiedzieć, że te sztuki, wedle wyrażenia utartego w teatrach: robią kasę. Prawda, może być; ale wierzajcie mi, o dyrektorowie i niedyrektorowie,

ale wogóle wszyscy czytelnicy moi — mówię wam po prostu, a z ręką na sercu: są rzeczy ważniejsze niż kasa, lepsze niż dochody, bardziej niezbędne niż *quaerenda pecunia:* oto zdrowie moralne, zwarta rodzina, surowy stary obyczaj — ano i przyszłość, która od zdrowia, od rodziny i od obyczaju zależy.

A teraz przebaczcie morał, ale czasem on nie zawadzi: mnie cieplej, gdy wypowiem, a i wam się może czasem przydać, gdy usłyszycie. Nieźle jest sobie czasem wzajemnie przypomnieć rzeczy dobre, choć znane.

A teraz już ani słowa więcej. Wolę przejść do jakiegokolwiek zabawniejszego przedmiotu, choćby np. do cyrku, którego skład zmienił się w ostatnich czasach całkowicie. Ci, którzy byli, odjechali, a na ich miejsce przyjechali nowi. Zostało tylko na o g ó l n e żądanie naszych dżentlemanów kilka piękności, bez których pomienieni dżentlemanowie zbyt głęboko czuliby swoje sieroctwo. Ach! z kimżeby się jadło ostrygi!? Ach! czyichże palców koniuszki całowałoby się przy Carte blanche? Cóżby to były za czasy! Trzebaby chyba w nocy spać a w dzień czuwać, co jest w złym tonie, nie zaś w dzień spać a w nocy czuwać, co jest w dobrym tonie. Wszyscy o tem wiedzą. W cyrku ustały jakoś benefisy pana, pani, małego i t. p., ale natomiast ma być jeszcze jedno przedstawienie na cel,

zresztą o wiele sympatyczniejszy i godniejszy szczerego poparcia niż poprzednie. Oto Salamoński, jako Warszawianin (podobno tak jest w istocie), ma zamiar dać widowisko na dochód mającego się założyć ogrodu Zoologicznego w parku Aleksandryjskim na Pradze. Jakoś z tym zwierzyńcem nie idzie zupełnie tak, jakby powinno. Potrzebę i pożytek jego uznają wszyscy i mówią o nim; popiera go prasa, a szczególnie *Kuryer Codzienny*, redakcye przyjmują składki, a z tem wszystkiem składki wpływają powoli; popiera je Warszawa, kraj bardzo mało, i rzecz idzie w odwłokę. Dziwna rzecz! Bywamy czasem niezmiernie hojni, ale tylko pod wrażeniem chwili. Niech kto potrafi do nas przemówić rozczulającemi słowy, niech zdoła chwycić za serce, łzę wycisnąć z oka, a posypią się szybko pieniądze i grube pieniądze nawet. Gdy jednak działamy nie pod wrażeniem, ale pod wpływem przekonania — oho! idzie daleko trudniej. Co innego uznawać potrzebę ogrodu, a co innego wyłożyć nań gotówkę. Tam wprawdzie mówią: «Przyjmujemy choćby najmniejsze składki», ale nam wstyd jakoś wydaje się posłać parę groszy. Niejeden myśli nawet: niewarto. Tym sposobem ogród idzie w odwłokę, a niedźwiedzie pana Bartelsa napróżno mruczą na niewygodne dotychczasowe pomieszczenie.

Od jednego ogrodu przejdźmy teraz do dru-

giego, nie zoologicznego, albo zoologicznego, tylko o tyle, o ile złośliwe języki mówią, że od rana do wieczora pełno w nim gawronów. Mówię o ogrodzie Saskim. Rozgłoszono, że tego roku nie będzie w nim loteryi fantowej. Tymczasem wieść ta, którą zresztą sam na cztery strony świata trąbiłem, okazała się fałszywą. Loterya będzie i nietylko że będzie, ale odbędzie się niezadługo, podobno zaraz w pierwszych dniach bieżącego miesiąca. Nie wybiegał się jednak staruszek. Patrzcie: nie wybiegał się! — Miłosierdzie publiczne musi pootłukiwać mu drzewa, podrapać ławki, podeptać trawniki, poobrywać bzy, zakopcić fajerwerkami liście, powystraszać wróble, zaśmiecić papierkami z losów ulice, oszpecić płóciennemi budami aleje. Inaczej się nie rozczuli. Dziwne miłosierdzie! W zimę przynajmniej nie bywa takie drapieżne. Chce tylko tańczyć — w lato chce niszczyć — wtedy bywa hojne, inaczej nie da ani grosza.

Na zakończenie jeszcze jedna, grubo efektowna nowina.

Nazywam ją grubo efektowną, albowiem będę mówił o jednej z najgrubszych istot, pod jakiemi kiedykolwiek od najdawniejszych czasów uginała się ziemia. Oto przyjechała z Wiednia niejaka panna Marie, która przechodzi wszystko, co dotąd w tym rodzaju gawroni wszystkich miast kiedykolwiek podziwiali. Ten mamut ro-

dzaju żeńskiego waży podobno tyle, ile dwunastu przeciętnych frantów warszawskich; wypija niezliczoną ilość piwa, zjada niezliczoną ilość zrazów, bułek, a przytem chętnie każe sobie płacić po rubelku tym, którzy mają tak mało rozumu, że chodzą ją oglądać. Przyjechała tu, bo słyszała, że tu jej niezawodnie będzie się powodziło. Po drodze wstępowała do Krakowa (Honny soit...). Mówi przytem, że spodziewa się, iż Warszawa będzie umiała jej postępowanie, zarówno jak i jej tuszę ocenić. Dlaczego nie! Brano się tu na drobne rybki, dlaczegóż nie wziąć się na taką grubą? Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Nie udało się tylko jednemu Ruchwaldemu. Drugiego przedstawienia już wcale nie było. Przekonał się, że jesteśmy barbarzyńcami, dla których niepotrzebnie porzucił Indye, w których wszystko, poczynając od wróbli, daleko bardziej jest ucywilizowane. Wróble nawet szczególnie, bo jedzą plewę, której nasze nie chcą, i na którą się, jak wiadomo, nie łapią. Mądre wróble!

Pan Ruchwaldy więc wyjechał, ale mamy natomiast coś innego, co także Indye przypomina. Oto rozłożyli się w Łazienkach obozem cygani — błędne dzieci Hindustanu; mężczyźni, kobiety, dzieci — mężczyźni trochę pracują, trochę żebrzą, kobiety warzą krupy, wróżą

i żebrzą. Jakieś dziewczę między nimi iskrzy oczyma, świeci białą piersią, żebrze jak inni i inne, a czasem dźwięcznym głosem zawoła na przechodnia:

— Paniczu sokole! hej sokoliku, daj rękę. Powiem co cię czeka: czy złoty pierścień od lubej, czy skarby, czy bogactwa, czy dola, czy niedola, czy może śmierć na wojence, sokole! Daj białą rękę: wywróżę.

Poezya w łachmanach!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 115 z dnia 31 maja.

XXI.

Ponęty Warszawy. — Afisze. — Karnawał pod gołem niebem. — Ciemne strony sezonu. — Jeszcze, i bez końca, o pożarach. — Dobro ogólne i jego miłośnicy. — Przeciętni. — Skutki platoniczności. — Towarzystwa. — Wycieczka członków Tow. Osad rolnych. — Obietnice poprawy. — Wycieczka do Jabłonny. — Obniżanie się mieszkań. — Jarmark wełniany jako ostatnia nadzieja. — Wyjazdy za granicę. — Sport. — Wyścigi. — Młodzi lordowie. — Trenowanie. — Różne poty.

Kto się chce bawić, niechaj przyjeżdża do Warszawy. Sezon ogórkowy, sezon upałów, kurzu, ogólnego omdlenia, ogólnego próżniactwa i senności rozpoczął się, ale zarazem przyniósł nam takie mnóstwo wszelakiego rodzaju rozrywek, że aż wybierać trudno. Ni mniej ni więcej tylko jedenaście afiszów, rozlepionych co rano na wszystkich ulicach Warszawy, zaprasza zmęczoną całodziennym upałem publiczność, aby wieczorem śpieszyła do ogrodów i ogródków, gdzie uszy jej paść będą muzyką i śpie-

wem, oczy przedstawieniami teatralnemi, wdziękami artystek rozmaitych trup aktorskich, słowem, tem wszystkiem, co w mniej więcej rozkoszny lub szalony sposób pomaga do zabicia czasu od godziny ósmej wieczorem do dwunastej w nocy, o której to godzinie każdy dobry i stateczny obywatel wraca do domu z rozpiętą dla chłodu kamizelką i kapeluszem w ręku, ocierając przytem spocone czoło chustką. Krótko mówiąc, jest to karnawał pod gołem niebem. Nad głową gwiazdy i szmer liści trącanych ciepłym powiewem, a przed oczyma światła gazu, śpiewy, pląsy, wyróżowane twarze, wyczernione brwi i kolorowe pończochy, które także stanowią jedną z cech letniego sezonu.

Jednem słowem, wesoło byłoby w Warszawie, gdyby... ach, niestety, gdyby nie długa i bardzo długa lista ujemnych stron letniego życia: gdyby nie ogony damskie, gdyby nie próżne nawoływania o obcięcie tychże ogonów; gdyby nie bezskuteczność rozporządzeń o polewaniu ulic, po których każdy wiatr pędzi takie tumany kurzu, że ani oddychać, ani patrzeć przed siebie niepodobna; gdyby nie platoniczne westchnienia za dezynfekcyą; gdyby nie równie obfite, jak bezskuteczne rozsypywanie proszku karbolowego; gdyby nie kwaśne owoce; gdyby nie epidemia, która rok rocznie wyciska z nas większe lub mniejsze poglówne; a nakoniec,

gdyby nie pożary, świadczące o naszem niedołęstwie, lenistwie, i o bezwładności przysłowia: «Mądry Polak po szkodzie».

Albowiem dziś już faktem jest, że to przysłowie, niestety, jest fałszywe. Roku zeszłego ponieśliśmy szkody na kilka milionów rubli — i zmądrzeliśmy po niej? Gdzież są — woła wielkim głosem cała prasa — obywatelskie straże pożarne? gdzie są narzędzia do gaszenia? gdzie są domy przedzielane drzewami? gdzie są rezerwuary z wodą, mogące być na każdy wypadek użyte? gdzież są te wszystkie instytucye, urządzenia i środki, o których tyleśmy nagadali i napisali i na których potrzebę i konieczność zgodziliśmy się wszyscy? Tak jest; nagadaliśmy i napisali. Pisaliśmy, jak mówi pewien felietonista, artykuły malownicze, uczuciowe i rozumowane; zepsuliśmy mnóstwo papieru, piór i atramentu, i czy wiecie, o mili współobywatele, co stąd za wniosek? Oto, pisząc artykuły uczuciowe, rozumowane i malownicze, zrobiliśmy swoje — zrobiliśmy to wszystko, co do nas, jako do prasy, należało. Ale teraz wy, mili współobywatele, co zrobiliście ze swej strony? Doprawdy, mam ochotę umieścić po tem zapytaniu parę wierszy kropek dla lepszego odmalowania ciszy, bo ciszą tylko możecie na powyższe pytanie odpowiedzieć. Coście tedy zrobili dla zapobieżenia złemu? My, to jest ja i koledzy

moi po piórze, doprawdy, nie mogliśmy zaciągnąć się do straży prowincyonalnej, nie mogliśmy zrobić nic więcej, tylko pisać i pisać, ale wy?... Oto spalił się Międzyrzec, spaliła się Libertowa Wola, spaliły się Szopy Niemieckie, spaliły się roku zeszłego Siedlce, spalił się Opatów, i Bóg wie, co się nie spaliło, a jeżeli tak dłużej potrwa, spali się napewno jeszcze niejedno miasteczko, niejedna wioska, niejeden dziesiątek tysięcy rubli pójdzie z dymem, z czego nie może być nawet i tej pociechy, że zmądrzejecie po szkodzie.

Ale może was nudzą morały? Kwestya to, powiecie, która niejednokrotnie była już podnoszoną i aż do znudzenia powtarzaną. Możebyście życzyli sobie, abyśmy przestali o tem mówić? Nie obiecujemy poprawy. Nudzić was będziem choćby co tydzień, powtarzać choćby codzień. Nudźcie się, zżymajcie, oburzajcie, krzyczcie, pisujcie do redakcyi listy pełne wyrzutów, ale się poprawcie. Zbudźcie się! Kropla wody, spadająca ustawicznie, nawet w kamieniu otwór czasem przewierca. Przebóg! czyżby nasze słowa miały padać na twardszy od kamienia materyał?...

To byłoby już źle, w całem znaczeniu tego wyrazu.

Nie tracimy jednak nadziei, «bo bez nadziei jakżeby żyć», że z czasem będzie lepiej, że przyjdzie chwila, gdy każde miasto będzie miało swoją straż ogniową, złożoną z dzielnej i ener-

gicznej młodzieży, swoje narzędzia pożarne, słowem, to wszystko, czego potrzeba, by rok rocznie nie puszczać z dymem milionów.

Ach! gdybyśmy się raz nakoniec nauczyli miłować naprawdę to, co przez termin: dobro społeczne, oznaczamy. Miłujemy je wprawdzie niby bardzo, a bardziej jeszcze lubimy o tem rozprawiać, ale niestety! uczucia te są natury czysto platonicznej. Znam pewnego obywatela, który całe życie nie trudni się niczem innem, tylko wypalaniem pięknej piankowej cygarniczki, a który miłuje przytem dobro społeczne. Cóż chcecie: powiada, że miłuje, i może nawet naprawdę. Platonik! Prawda, że przy tak bezinteresownej miłości dobro społeczne mogłoby utopić się, być zjedzone przez psy, rozbić sobie głowę o kamień, połamać ręce i nogi, niemniej jednak nie przestałoby być kochane. Gdyby naprzykład wpadło w wodę i krzyczało w niebogłosy: «Topię się!» — pomieniony obywatel swoją drogą nie wlazłby dla ratowania go do wody, ale natomiast — jestem pewny jego serca — swoją drogą powtarzałby ze łzami w oczach: «Jaka szkoda! topi się, a takie piękne dobro społeczne!» Gdyby rzuciło rękawiczkę, nakształt pięknej Marty z Szyllerowskiej ballady, między dzikie zwierzęta, taki obywatel postąpiłby wprost przeciwnie niż sławny Emrod, to jest po rękawiczkę

wprawdzieby nie poszedł, ale też i kochać dobra społecznego by nie przestał.

A teraz, mili czytelnicy, chcecie wiedzieć, jak się taki platoniczny wielbiciel wdzięków dobra ogólnego nazywa? Mogę zdradzić tajemnicę, albowiem po pierwsze: nikt mnie o sekret nie prosił, a powtóre: choćby to był sekret, wygadałbym się z nim umyślnie. Taki obywatel nazywa się: przeciętny. Jest to, na nieszczęście, doskonale skoligacona, a przytem i najliczniejsza rodzina. Tak jest, przeciętny. Gdyby nie on — gdyby nie ta platoniczna rodzina, natenczas ów znany wiersz, że dla dobra ogółu każda smakuje trucizna, ten wiersz bez psów, liszek i czajek, nie byłby «najlepszą z Krasickiego bajek». Gdyby nie ta «przeciętna» a nieszczęśliwa rodzina, chora jednocześnie na krewkość w zamiarach, a niedołęstwo w czynach, na gadatliwość i lenistwo, łatwowierność, na pychę, łakomstwo, słowem, na wszystkie siedm grzechów głównych, wówczas nie płonęłyby nasze miasta, nie świeciłyby gołymi pieńkami nasze lasy, a gołemi piętami nasi przyszli potomkowie, nie waliłyby się nasze domy. Ach, gdyby nie ta rodzina, nasze stowarzyszenia nie potrzebowałyby ogłaszać drukiem melancholicznych ód do zalegających z opłatą członków; nasza spółka jedwabnicza, poparta jak należy przez ogół, sprzedawałaby już jedwab na wszystkich tar-

gach sąsiednich; w Studzieńcu stałby już budynek i uczyłyby się już moralności występne dzieci; nasz Merkury nie byłby najchudszym i zdychającym z głodu Merkurym; tanie kuchnie nie potrzebowałyby grać roli dziada z szopki, występującego z woreczkiem na końcu przedstawienia, i proszącego «o talary i o zboże, i o wszystko, co być może»; — wy zaś wszyscy, tj. ja i wy, mili czytelnicy, nie potrzebowalibyśmy każdego nowego roku kończyć rachunków z roku ubiegłego w ten sposób: zero od zera, zero — nie mogę: pożyczam... od Żyda.

Mówię, «bom smutny i sam pełen winy», powiada Słowacki, ja zaś powtarzam za nim. Powtarzam nie dlatego zresztą, żebym, doszedłszy matematycznej prawdy, że zero od zera jest zero, miał już pożyczać od Żyda. Nie, do tego jeszcze nie doszło! Ale, że pod pewnym względem należę i ja do tej p r z e c i ę t n e j rodziny, jako dowód posłużyć może choćby i to, że obowiązkiem moim jest dostarczyć felietonu na poniedziałek, a piszę go na wtorek, skutkiem czego stosunki moje z redakcyą pozostawiają w tej chwili wiele do życzenia, a nawet spowodowały wymianę niezbyt dyplomatycznych not między mną a pomienioną redakcyą, która nie omieszkała wystosować do mnie pewnego dość nieprzyjemnej natury *ultimatum*, którego tylko dlatego za *casus belli* nie uważam, że nie jestem dosta-

tecznie uzbrojony. Co do mnie jednak, przyrzekam sobie, że odtąd stale odcinek mój będzie gotowy nie na wtorek, ale na poniedziałek; a oprócz tego, rozważając wszystkie grzechy rodziny przeciętnej, bijąc się w piersi i powtarzając *Mea culpa!* wzywam ją, aby uczyniła toż samo. Na dowód zaś, że poprawa moja jest szczerą, zamierzam sobie zaraz nazajutrz zapłacić dwie raty, które zalegam w Tow. zachęty sztuk pięknych, jedną w Tow. muzycznem, jedną w Tow. osad rolnych, a kilka w innych Towarzystwach. Prócz tego pragnę poprawę swą, czyli reformę, przeprowadzić w całej obszerności, t. j. wygluzować w charakterze swym wszelką bezkrwistą platoniczność względem dobra ogólnego; przyrzekam sobie również, że nie wezmę udziału w sielskiej i gotującej mnóstwo lirycznych wzruszeń wycieczce do Studzieńca, jaką Towarzystwo osad rolnych przygotowuje dla swych członków na dzień 10 czerwca, po ukończeniu dorocznego walnego posiedzenia. Wiem, że ofiara ta wiele kosztować mnie będzie, ale krzepię się nadzieją, że będzie mi to właśnie kiedyś policzone i położone na szali przeciwnej tej, na której będą spoczywały moje nieprawości. Wiem, że pozbawiam się przejażdżki koleją do Rudy Guzowskiej, drogi wśród brzezinowych lasów na wózku pana Sobańskiego do Studzieńca, wielce prawdopodobnego

obiadu w Studzieńcu, toastów, mówek w duchu wzajemnego przyznawania sobie zasług i równie skromnego jak szlachetnego nieprzyznawania się do tych zasług; dalej mówek w duchu ogólnego powinszowania sobie pięknych skutków i usiłowań, mówek, poczynających się drżącym głosem od słów: «A teraz pozwól, szanowny...» lub «a teraz pozwólcie, szanowni»... Nakoniec: wyrzekam się mówki, którą sambym może powiedział, co w przyszłości mogłoby nawet korzystnie wpłynąć na podwyższenie honoraryum w redakcyi, na zyskanie mi znajomości, protekcyi, na ewentualne otrzymanie płatnej posady w jakiem Towarzystwie lub banku, któraby pozwoliła pokryć moje niedobory literackie, a wreszcie i na podtrzymanie mej sławy, jako mówcy, która to sława wogóle niezbyt świetna, została ostatecznie przyćmioną od czasu reform i wyborów w Tow. muzycznem, na których zjawiły się pierwszorzędne gwiazdy, zaćmiewające wszystko dokoła.

Otóż, wyrzekam się tych wszystkich wyżej wymienionych rozkoszy, w celu, aby raz dowieść, że umiem nietylko platonicznie miłować dobro ogółu. Rozumuję bowiem, że dowiodę tego stanowczo, jeżeli pieniądze, jakiebym musiał na wspomnianą wycieczkę wydać, ofiaruję Towarzystwu osad rolnych bezpośrednio na same osady. Będzie to coś nierównie pozytywniejszego,

nie prawdaż? Co większa, sądzę nawet, że jakkolwiek wycieczka będzie obfita we wzruszenia, jakkolwiek ewentualny obiad, o który, mówiąc nawiasem, niektórzy członkowie już dziś rozpytują się półgębkiem, będzie bardzo smaczny, toasty i mowy bardzo podniosłe i jednoczące serca członków — to przecież ja — prosty śmiertelnik i lichy pracownik boży, sądzę, powtarzam, że gdyby wszyscy członkowie te pieniądze, których pod firmą «na piwo» udzielają fornalom pana Sobańskiego, dalej te, które wyjść mogą w samym Studzieńcu, czy to na obiad, czy na podwieczorek, czy na cokolwiek, oddali wprost na osady, to byłoby prościej, ale i lepiej. Ot możnaby za to czy wybudować parę pokoików więcej, czy założyć jaki ogródek, czy kupić jakie narzędzia naukowe, czy książki, czy utrzymać jednego więcej przestępcę małoletniego, czy zabezpieczyć silniej byt i pożytek instytucyi. O! byle były pieniądze, znalazłby się na nie sposób. Warto się nad tem zastanowić. A zresztą do uznania każdemu: co do mnie, postanawiam wyprzeć się kuzynowstwa z przeciętnymi, z ich zamiłowaniem efektów i z ich platonicznością raz na zawsze.

A teraz, kiedy już mowa o majówkach i przejażdżkach, wspomnę więc jeszcze o jednej, o której zresztą brak mi szczegółowych wiadomości. Chcę mówić, że w Harmonii ma się odbyć

składkowa wieczerza, a potem przejażdżka do Jabłonny. Będzie to zapewne również niezmiernie liczna wycieczka z towarzyszeniem różnych rzniętych i dętych instrumentów, a przytem groźnych basów, czułych tenorów, wstydliwych sopranów i wszelkiego rodzaju głosów i odgłosów, na jakie tylko gardło ludzkie zdobyć się może. Wszystko to są jednakże tylko przypuszczenia, powiedziałem zaś, że bliższych informacyi o tej wycieczce nie mam, albowiem nie wiem nawet, o ile słowiański język będzie na niej uprawniony. Niegdyś, pamiętam, że wybuchały z tego powodu w łonie zgromadzenia pewne niesnaski, które zaogniały się z dziwną uporczywością przez czas dość długi.

Trudno wiedzieć, jak jest dziś, i o ile ludzie, nie posiadający iglicówek, filozofii pesymizmu, kiszek grochowych, skłonności do anneksów, do sentymentalizmu i do piwa, mogą być i są w powyższem towarzystwie tolerowani, a zwłaszcza wtedy, jeżeli używają takiego języka, jaki niezbyt mile wpada w wydelikacone przez walce konchy uszne stałych członków zgromadzenia. Zarówno nie jestem pewny, czy na owej składkowej wieczerzy i wycieczce do Jabłonnej zajdą, prócz muzyki, śpiewów i spożycia pewnej ilości kiszek grochowych, jakiekolwiek fakty, któreby jako następstwa powyższych czynności zasługiwały na taką przynajmniej felietoniczną

wzmiankę i uwagę, na jaką zasługują innego rodzaju zamiary, a raczej obietnice, których przyszłość wcale dla nas, t. j. dla Warszawy, nie szczędzi.

Mają się tu bowiem dziać rzeczy wcale niespodziewane, których nikt się nie spodziewał, a które każdy z radością powita. Słychać, że mieszkania np. spadają, a wkrótce spadać zaczną na łeb, na szyję. Jest to możliwe. Już dziś na wszystkich domach widać karty z powywieszanymi pustymi lokalami, których posiadacze, coraz to zachodząc z ołówkiem w ręku, zmieniają ceny, zmniejszając potrosze dawne, a wpisując nowe, mniejsze. Na ulicy Wielkiej jest dom, w którym czterdzieści pokojów stoi dotychczas pustkami. Po pokojach owych chodzi zamyślony gospodarz, monologując z sobą po hamletowsku, coraz głośniej, coraz gwałtowniej i coraz wyraźniej. Ludzie słyszeli podobno — czy też zdaje im się, że słyszeli wyraz: przeholowałem! Tak jest, przeholowałeś, miły gospodarzu, a raczej przeholowaliście, co się srodze da wam wszystkim we znaki. Przyznajcie, że milej jest wziąć za mieszkanie trochę taniej, niż potem odbywać długie spacery, z rękoma w tył założonemi, po pustych pokojach, gwiżdżąc, kiedy się płakać chce. Przeholowaliście, moi panowie, teraz monologujcie sobie, co dusza raczy. Często zaiste: wynająć lub nie wynająć, — jest równe? co:

być albo nie być. Z czegoż będziecie płacili podatki? z czego wyślecie żony swoje i córki za granicę? Liczycie jeszcze na jarmark wełniany. He! nadzieja matka głupich. Lepiej się nie łudzić: hotele dla szlachty wystarczą, a gdyby nawet nie wystarczyły, ileż to mieszkań prywatnych jest do najęcia po rodzinach, które wyjeżdżają na letnie mieszkania lub za granicę! Jest jedna tylko rada, powiem wam do ucha: obniżcie ceny.

Istotnie, w czasie wełnianego jarmarku umeblowane mieszkania po rodzinach, które wyjeżdżają za granicę, stanowią potężną konkurencyę dla pustych lokalów, które trzeba odnajmować na czas dłuższy, a takich mieszkań wszędzie jest mnóstwo; któż bo latem siedzi w Warszawie?

Napróżno rozlepiają jedenaście afiszów co rano; napróżno teatrzyki przesadzają się w ofenbachiadach, aby dorównać choć w tem zagranicy; napróżno Fliege daje koncerty, złożone z utworów miejscowych, faszerowanych niemiejscowymi, kompozytorów; napróżno w cyrku siłacze francuscy gną w ręku siłaczów warszawskich; napróżno panna Guerra roztacza wdzięki swej budowy, budzącej we wszystkich gołowąsach oskomę, dorównywająca chyba wstrętowi, jaki w nich budzi książka, atrament, pióro, ołówek, słowem, wszystkie materyały do czytania

i pisania; napróżno panna Czesia stara się przekonać sceptyków, że nie jedna Guerra ma takie ramiona na świecie, i że miłość ulokowana na koniu łatwiej może kark skręcić, niż umieszczona na tragicznych koturnach; napróżno wiedeńska Marie, po cenach zniżonych, a przynajmniej mających być zniżonemi, roztacza swe obszary przed zdumionemi oczyma i wykrzywionemi z podziwu gębami nielicznej publiczności; wszystko to napróżno: każdy kto może i ma na to, opuszcza miasto i śpieszy za granicę wynieść co prędzej i wydać latem połowę tego, co przez całą zimę zarobi.

Do czasu zostają jeszcze zwolennicy sportu. Wyścigi konne za pasem, bo niespełna za tydzień. Między tutejszo-krajowymi lordami ruch tedy ogromny. Czy wiecie, co też teraz robią? Oto pocą się. Wielka rzecz, powiecie, to i my się pocimy. Nie, przepraszam: my się pocimy, bo upał; bo nam przyrzekli polewać ulice, a nie polewają, bo... bo... jednem słowem, my się pocimy niechcący, a oni naumyślnie. Mówiąc żargonem, nazywa się to: trenują się. Trenują się panowie, trenują dżokeje, trenują konie. Niektórzy z nich jednak, gdy nadejdzie święty Jan, znowu będą się pocić, ale już nie trenować, tylko poprostu pocić nie tyle z gorąca, ale skąd tu wziąć na spłatę kapitałów, zaciągniętych na dżokejów, lokowanych na hipotekach, a prowa-

dzących młodych rycerzy pod staro-rycerskie godło, bo pod włócznię, co razem wzięte, po łacinie «subhastatia» się nazywa.

Od takich potów broń nas, Boże, mili czytelnicy; broń Boże każdego, broń Boże i was, młodzi lordowie. Mamy dosyć tych ruin i tych subhastacyi.

Gazeta Polska, 1875, Nr 122 z dnia 8 czerwca.

XXII.

Wyprawa do Studzieńca. — Widok Studzieńca. — Przyszłość. — Wpływ pracy i natury. — Platoniczni członkowie. — 2.168 i 600. — Pochwała sześciuset. — Żyrardów. — Nasze skłonności. Jarmark wełniany. — Ruchliwa chwila. — Tendencya. — Wyścigi. — Służba z «towarzystwa». — Bohater wyścigów. — Zarobki a zarobki. — Głowa i nogi. — Nasze rasy.

Byłem i ja w Studzieńcu. Mimo przyrzeczeń uczynionych sobie i czytelnikom w zeszłotygodniowym odcinku, że nie pojadę, a pieniądze potrzebne na kupno biletu złożę na rzecz Osad rolnych, musiałem jednak pojechać, do czego zresztą popchnęła mnie nie tyle chęć spożycia zastawionego w lesie obiadu, ile obowiązek sprawozdawcy i obfitość spostrzeżeń, jakie spodziewałem się poczynić.

Jakoż niema tego złego, coby na dobre nie wyszło — mówi przysłowie. Naprzód przekonałem się, że wycieczka do Studzieńca, obok błogich skutków hygienicznych, jakie przejażdżka

na świeżem powietrzu i wśród lasów wywrzeć musi na cenne zdrowie tak członków Towarzystwa, jak i reprezentantów prasy, obok wzruszeń natury filantropijnej i poetyczno-sielskiej, miała także swoją racyonalną podstawę, o której z całą powagą mówić mi przyjdzie. Oto Zarząd Towarzystwa chciał przedstawić tak reprezentantom prasy, jak i swoim członkom materyalne dowody swej działalności, a przytem dać im sposobność do czynienia uwag i spostrzeżeń, które, według słów jednego z przedstawicieli zarządu, przyjmowane będą zawsze najchętniej, brane pod uwagę najskrupulatniej.

Przekonaliśmy się tedy wszyscy naocznie i namacalnie, że wszystko idzie dobrze, że zarząd z godną uznania gorliwością i energią wywiązuje się ze swego zadania, że wszystko już jest prawie gotowe, i że w tych osadach dla małoletnich przestępców, prócz małoletnich przestępców i niektórych wewnętrznych urządzeń, niewiele już brakuje.

Urządzenia jednak wewnętrzne wprowadzone będą wkrótce, albowiem zarząd posiada dostateczne, a co lepsza, ciągle zwiększające się fundusze, które na ten cel odpowiednio będą użyte; małoletni przestępcy znajdą się, gdy nastąpi promulgacya rozporządzenia ministra, nakazującego sądom wydawanie ich w ręce Tow. osad rolnych.

Wkrótce więc osady zawrą ruchem i życiem. Dziś jeszcze spokojnie tam, a ciszę przerywa tylko gwar robotników: mularzy, stolarzy, kowali, cieśli, zajętych wznoszeniem nowych budowli, lub ostatecznem urządzeniem już wzniesionych. Widok Studzieńca, tak jak on dziś się przedstawia, jest jeszcze dosyć posępny. Na obszernej polanie stoi w dwóch szeregach 6 piętrowych z czerwonej cegły murowanych domów, a w środku wielkie podwórze. Na podwórzu znać ślady gorliwej pracy koło budowli. Tu i owdzie leżą jeszcze wióry stolarskie, gdzieniegdzie czerwienieje kupka cegieł, w środku wznosi się skrzypiący żóraw tymczasowej studni; drewniane, po części wzniesione już sztachety otaczają i domy i dziedziniec, a za sztachetami las, szumiące szeregi drzew i zwykła cisza leśna.

Miejsce to samotne, odosobnione od świata, takie właśnie, jakiego na osady rolne potrzeba. Ostatecznem jego urządzeniem i ozdobą zajmą się już sami przestępcy. Za jaki rok lub dwa, obszerny, porosły chudą trawą dziedziniec zamieni się w klomby, pełne krzewów; koło domów zazielenieją płonki drzew, za sztachetami zniknie las, a miejsce wykarczowanych zarośli zajmą uprawne pola, na których powiew wiatru będzie latem kołysał kłosy wszelakich zbóż. Wszystkiego tego dokonają już własnemi dłońmi

przestępcy. W samej osadzie wzniosą się nowe domki i zabudowania folwarczne; stanie kapliczka, której dzwonek będzie o rannej zorzy wzywał do modlitwy i pracy, a o wieczornej do modlitwy i snu pod skrzydłem bożem. Latem praca w polu i lesie z pługiem, broną, rydlem, motyką i siekierą; zimą, gdy śnieg z chmurnego nieba zasieje pola i gęstwiny leśne, przewagę weźmie praca w warsztatach. Życie rozłamie się tu wyłącznie na pracę i modlitwę, popłynie całkowicie owemi źródłami uspokojenia. Troskliwa, iście rodzicielska opieka ułatwi, uczyni prawie konieczną poprawę, a nakoniec dobroczynny wpływ natury uszlachetni te młode, za wcześnie pod palącem tchnieniem występku zdziczałe dusze.

«Trzeba ziemię poprawić przez ludzi, a ludzi przez ziemię» — powiedział jeden z największych naszego czasu myślicieli. Wielka to prawda. Ludzi poprawia ziemia, to jest praca i natura. Wyobraźmy sobie dziecię, zrodzone wśród zatrutej atmosfery miejskiej, w ciemnych szynkowniach, wśród gwaru i gorączki występków, ciemne, zepsute od najmłodszych lat, popychane do złego przykładem starszych, zdziczałe, rozpróżniaczone — wyobraźmy sobie, mówię, takie dziecię wyrzucone z tych piekielnych warunków, a przeniesione naraz w czystą atmosferę pól i lasów wiejskich, w ciszę i pogodę natury.

Nie zaznało opieki, tu znajduje opiekę; nie zaznało pracy, tu znajduje pracę; nie zaznało modlitwy, tu znajduje modlitwę. Tam co krok spotykało się z szatanem — tu co krok spotyka się z Bogiem. Rankiem w mieście budziły je ze snu przekleństwa starszych złoczyńców, tu budzi je śpiew ptasząt. Wieczorem w mieście usypiała je wódka, tu po modlitwie usypia je szum sosen leśnych, który sam wydaje się modlitwą i który każdą niezepsutą lub niewyschłą do dna duszę przepełnia pełną słodyczy ufnością i spokojem.

A teraz powiedzcie, moi czytelnicy, czy wierzycie, aby wobec powyższych warunków dziecię owo mogło się nie poprawić? Czy nie widzicie, jak powoli ta biedna duszyczka, niby roślina zwiędła, rozwija się, podnosi, ożywia i poczyna żyć życiem pełniejszem, bardziej naturalnem, życiem prawdy, prostoty i nakoniec wyrasta na pożytecznego pracownika tej gleby, na której wszyscy w pocie czoła pracujemy?

Ufam, czytelnicy, że to widzicie równie jasno, a może i jaśniej ode mnie, dlatego też rozumiecie dobrze, czem są Osady rolne. Założenie ich jest wielkim czynem filantropijnym, którym wszyscy chlubić się możemy; popieranie ich jest obowiązkiem, który wszyscy powinniśmy wypełniać.

A jednak!!..

A jednak co? — spytacie — alboż to w sprawozdaniu odczytywanem w Studzieńcu nie słyszeliśmy pochwał, skierowanych do ogółu?... dalej sprawozdawca pochwalił 2168-miu członków, należących do Towarzystwa osad rolnych, ale widocznie zapomniał jeszcze, czy też może nie chciał wymienić 600, wyraźnie sześciuset członków platonicznych pomienionego Towarzystwa, to jest członków takich, którzy, zapisawszy na liście swe nazwisko, nie wnieśli jeszcze należnych składek rocznych. Miło mi uzupełnić umyślne czy mimowolne przemilczenie sprawozdawcy i uczcić słowami należytego uznania wspomnianych mężów, którzy, obiecawszy płacić po 5 rs. rocznie, rozumują słusznie, że czyste uczucie, jakiem serca ich płoną dla małoletnich przestępców, więcej jest warte niż nietylko pięć, ale nawet niż dziesięć rubli rocznie. Powtóre, taki idealny udział w Osadach rolnych pozwoli im zapisać się na tych samych warunkach nietylko do tego jednego Towarzystwa, ale do wszystkich innych, jakie tylko kiedykolwiek powstać mogą, a w ten sposób uszczęśliwić nieograniczoną liczbę wszelkiego rodzaju przestępców.

Mój Boże! czemuż to zatwardziali pesymiści i sceptycy narzekają na brak bezinteresownych ludzi na świecie, skoro na 2168 członków jednego towarzystwa mamy aż sześciuset zu-

pełnie bezinteresownych, że gdyby wypadkiem licho porwało całe towarzystwo wraz ze wszystkimi członkami, domami i nieletnimi przestępcami, jeszczeby to ich nie zainteresowało ani trochę. Sądzę nawet, że to już jest kraniec bezinteresowności, z którą w porównanie iść może chyba tylko skromność rzeczonych filantropów. «Niech nie wie lewica, co czyni prawica» — oto jest ewangeliczna zasada, którą posuwają do tego stopnia, że gdybym naprzykład ku zbudowaniu innych bliźnich, chciał wymienić nazwiska owych sześciuset, wiem, że wspomniana wyżej, a wrodzona im skromność i chrześcijańska pokora żadną miarą nie chciałyby się na nic podobnego zgodzić, a nawet zgaduję, że stałbym się powodem świątobliwego oburzenia nietylko samych filantropów, ale i ich najbliższych krewnych.

Czułem się jednak w obowiązku wypowiedzieć tych kilka słów gorącego uznania: raz, że pomienieni filantropowie w zupełności na nie zasługują, a powtóre, że skoro ci niebezinteresowni, bo opłacający roczną składkę członkowie, którzy byli w Studzieńcu, usłyszeli odpowiednie pochwały i podziękowania, zdawało mi się rzeczą słuszną oddać sprawiedliwość i tym, o których zamilczano.

Ale widzę, że czas już skończyć o idealnych i realnych członkach, o towarzystwie, o prze-

stępcach, i powrócić ze Studzieńca do Warszawy. Zanim jednak to uskutecznię, pozwólcie, czytelnicy, że zatrzymamy się na chwilę po drodze, jak to uczyniła większość gości, a przynajmniej prawie wszyscy reprezentanci prasy, którzy, korzystając z godziny czasu między powrotem ze Studzieńca a odejściem pociągu do Warszawy, obrócili ową godzinę na zwiedzenie położonego tuż obok Rudy Guzowskiej Żyrardowa.

Ach! miły czytelniku, jakież cuda oglądały nasze oczy! cóż to za fabryka!! Sale tam tak rozległe, że stojąc na jednym końcu zaledwie rozeznasz rysy ludzi pracujących na drugim. Olbrzymie, straszliwe potwory parowe, rycząc groźnie i wywijając z piekielnym rozmachem żelaznemi ramionami, nadają ruch wszystkiemu. W przędzalni tysiące mniejszych i większych kół, o smoczych kształtach, kręcą się z przerażającą szybkością na osiach; wszędzie huk, łoskot i burza taka, że ani jednego słowa nie dosłyszysz. Ściany budynku drżą. Zda się, że wszystkie te machiny żyją i mają dusze; zda się, że jakaś niepojęta wściekłość ogarnęła te żelazne potwory. Patrzysz na nie, i wydaje ci się, że lada chwila wyciągną się ku tobie jakieś straszne ramiona, i porwawszy, rzucą cię na owe zęby, haki i pasy, które rozerwą ciało twe na atomy, zmielą je, uprzędą i zrobią z ciebie łokieć płótna. Przemienić się nagle w ręcznik — co za

niemiła metempsychoza, nie mówiąc już o innych kształtach, na wypadek, gdyby się było przerobionym na cieńsze płótno! Powoli jednak prawidłowość tych ruchów uspokaja wzburzone nerwy i chłodzi rozbujałą fantazyę. Widzisz, że ów potwór, który ci się przed chwilą wydawał wściekłym, piastuje w swych objęciach subtelne, jak pojęcie, włósienko, niteczkę; snuje i nie zrywa jej. Wówczas to dopiero poznajesz, że istotnie ożywia go przezorny rozum — potężny i więcej tu niż gdziekolwiek tryumfujący nad ślepą siłą rozum ludzki, dla którego te smoki są posłusznymi na każde skinienie niewolnikami.

Przędzalnie i sale warsztatów tkackich, farbiarnia, blichownia, to prawdziwe muzea. Ostatnia, t. j. blichownia, jest to sobie ni mniej ni więcej tylko olbrzymia, otoczona wysokim parkanem łąka, przestrzeni kilku morgów, która, na pierwszy rzut oka, wydaje się być pokryta śniegiem. Po bliższem przypatrzeniu się poznajemy dopiero, że ten śnieg stanowią wszelkiego rodzaju płótna, poddane tu podwójnemu działaniu: słońca i wody. Płótna te pójdą potem na cały kraj, do Rosyi, do Niemiec i Austryi nawet. Trzy tysiące ludzi pracują w tych olbrzymich zakładach. W Żyrardowie zakładają się powoli sklepy, wznoszą się potrosze budowle i domy fabryczne. Osada powiększa się wolno, ale stale. Działalność fabryki wzrasta z dniem każdym;

obroty roczne miliony rubli wynoszą, jak również miliony przynoszą na czysto szczęśliwym, ale zarazem pracowitym i energicznym przedsiębiercom, właścicielom. Zwiedzanie tych wszystkich cudów ułatwia niezmiernie uprzejmość właścicieli, którzy chętnie i z pewną dumą oprowadzają wszędzie zwiedzających. Z dumą, bo — byli to podobno ludzie za młodu ubodzy, którzy szli w świat o własnej sile i własną siłą się wybili; z dumą, bo kiedy obejmowali fabrykę, wszystko było w rozstroju i upadku: dziś ład i porządek w niej wzorowy, a rozkwit niebywały.

Tak jest: ład, porządek i rozkwit. Patrząc na to wszystko, zadumałem się mimowoli. Ach! czemuż to dotykalne przykłady samopomocy są wiecznym grochem, rzucanym na ścianę dla naszych s k i c h i w i c z ó w! czemuż, przychodząc na świat, przynosimy już niejako z sobą więcej gustu do «kwaszonych ogórków», do żółtych najtyczanek, do wielmożności, do karczowania lasów, do głównych, biernych ról w dramacie, zatytułowanym: «Subhastacya», do wielkiej polityki, streszczającej się w słowach: «na wiosnę», do pachciarzy, do parcelacyi, do utyskiwań na złe czasy, do ciężarów hipotecznych, do zwykłego «jakoś to będzie!» czemuż, niestety, powtarzam, przynosimy więcej skłonności do tego wszystkiego, niż

do wytrwałej, upartej a organicznej pracy, która sprawia, że mrowisko, choćby dziesięć razy na dzień nogą przechodnia rozrzucone, wznosi się i staje znów całe — odbudowane!

Czyż istotnie rodzimy się słabsi? czy słowiańska rasa nasza, jak tego jeden głupi Francuz dowodził, a jedno mądre pismo nasze za nim powtórzyło, rodzi się wątlejsza, żyje słabiej i wymiera prędzej od sąsiedniej germańskiej?...

Było się nad czem zadumać.

Ale nie. To nie prawda! Nie rodzimy się słabsi, nie natury więc wina; umieramy słabsi — to nasza wina.

Było się nad czem zadumać.

Nagle dumania moje przerwał świst lokomotywy: trzeba było wracać do Warszawy.

— A co tam słychać w Warszawie? — spytacie.

Ha! mamy jarmark wełniany. Na placu targowym leżą wańtuchy, przybyłe z różnych okolic kraju, ale niewiele tam tego. Podobno remanentu więcej, niż dotychczasowych transportów. Teraz tam wszystko ważą. Waga bankowa pracuje od rana do wieczora. Rozmaite instytucye kredytowe ogłaszają się z gotowością dawania zaliczek do trzech części wartości przywiezionej wełny — i oto wszystko. Kto ma wełnę, będzie miał pieniądze.

A ceny?

Nie moja to tam rzecz, ale podobno wcale nieszczególne. We Wrocławiu szło niebardzo, w Poznaniu, ba i bardzo — dopiero w końcu ceny jakoś podskoczyły. Tak to tam przynajmniej mówią, nie wiem, czy nie strachy na Lachy. Przecie bardzo źle nie będzie, jakkolwiek słychać znowu, że kupców zagranicznych zjechało niewielu. Et! co tam! jeszcze ich się nazjeżdża! trzymajmy się ostro!

Ogólny nastrój jarmarku ma już swój techniczny termin. Nazywa się to tendencya. Aha! tendencya! Dopytują się tedy wszyscy: jaka jest tendencya jarmarku? Co do mnie, sądzę, że jest taka, żeby jeden drugiego okpił, ale zdania swego nie narzucam nikomu; ogłoszę je albowiem tylko na mocy tradycyi o dawniejszych jarmarkach, i na mocy własnych spostrzeżeń, jakie robiłem w Baranowie nad Wieprzem, gdzie jak tylko jest jarmark, na który schodzą się Żydzi aż z Łysobyków, naówczas bez najmniejszej wątpliwości tendencyą ich jest okpić wszystkich chłopów, przyprowadzających woły, krowy, barany etc. etc. Sądzę, że nietylko w Baranowie, lub w Łysobykach — myślę nawet, że i w Warszawie tendencye kupców hurtownych, jakkolwiek mogą być szlachetne, nie byłyby przeciwne przyjęciu wełny, nawet za darmo, gdyby tylko obywatele wiejscy najmniejsze darowania jej tendencye objawiali.

W chwili, kiedy to piszę, jarmark urzędownie jest już rozpoczęty, Konferencye gospodarskie, jakie się zeszłego roku podczas wystawy rolniczej odbywały, zmieniły jego termin, przeniósłszy go z 15 na 19-ty — dawniejszy zwyczaj jednak zwyciężył. Nowy termin miał przytem tę złą stronę, że wypadał w dzień jarmarku berlińskiego, który odciągał kupców. Konferencye wyszły wprawdzie z zasady, że jarmark głównie na tutejszych kupców liczyć powinien, ale jarmark, nie wdając się widocznie w teoretyczne dowody, co powinien, a czego nie powinien, rozpoczął się — i rób z nim co chcesz!

Zjazd wieśniaków już wyraźnie daje się czuć w Warszawie. Hotele pełne, po restauracyach pełno, ruch po sklepach zwiększa się; ogródki przepełnione. Miasto ożywia się i, gotując coraz nowe zabawy, radośnie oczekuje pieniężnego żniwa, jakie mu jarmark wełniany zawsze przynosi. Tymczasem odbywają się wyścigi. Wyścigi! Ach, wyścigi. Mógłbym cały odcinek o nich napisać. Jest to także jarmark, ale jarmark próżności ludzkiej, albo inaczej mówiąc: warszawsko angielskiego szyku. A odbyły się, a raczej, odbywają się w tym roku z wielką uroczystością. Przeszło sześćdziesiąt koni zapisało się do gonitw. *All right!* Ten angielski wykrzyknik, za którego ortografię nie zaręczam, ale którego sposób wymawiania szczęśliwie przez pilne

uczęszczanie na wyścigi posiadłem, stanowi jedyny i całkowity zasób angielszczyzny większości naszych dżentelmenów, uczęszczających na wyścigi. Zauważyłem nawet, że niektórzy z nich nie są dokładnie poinformowani, coby ten wykrzyknik miał znaczyć, co jednak nie przeszkadza im używać go z całą powagą jak najczęściej.

Pięknych kobiet, pięknych powozów i pięknych koni na pierwszych niedzielnych wyścigach było mnóstwo. Piękności kobiet, ich barw, kolorów, opisywać nie będę, za słabe bowiem moje pióro. Co się tycze powozów, zauważyłem kilka oryginalnych zaprzęgów, między którymi odznaczała się szczególnie piękna, dobrana, nieledwie że bliźniacza, gniada czwórka, zaprzężona do lekkiej amerykanki. Dziwiła mnie tylko jedna rzecz, t. j. równie dobrani stangret i lokaj, obaj byli bowiem tak podobni do orangutangów, że słusznie można ich było poczytywać za ewentualny w przyszłości, a bardzo cenny nabytek do mającego się w Warszawie założyć zwierzyńca. Zdziwienia swego nie potrafiłbym może i ukryć, gdyby nie pewien dżentelmen, imieniem Coco, który przestrzegł mnie, że to jest *mauvais genre*, drugi zaś dżentelmen, imieniem Joco, objaśnił, że to nie są orangutangi, ale dwaj Anglicy, starannie dobrani umyślnie, albowiem właśnie bardzo z towarzystwa

jest, aby służba popierwsze: była angielska, a podrugie, żeby szczęśliwie łączyła w swych fizyognomiach wyraz twarzy idyoty i małpy; wyścigi tedy odbyły się w całym wymaganym porządku. Emablowano damy w powozach, ważono dżokiejów, ważono konie, zakładano się, wygrywano i przegrywano, rozmawiano we wszystkich językach europejskich, z wyjątkiem polskiego, — unoszono się nad łydkami dżokiejów, które rzeczywiście przypominały patyki, poobszywane w łosiową skórę; słowem: bawiono się z zapałem. Prawdziwym jednak bohaterem dnia tego był szlachetny syn pewnego wysoko urodzonego Anglika i równie wysoko urodzonej Angielki, lord Przedświt, którego polskie imię tem się tłómaczy, że urodzony był w Galicyi. Zapewnieście ciekawi, kto jest Przedświt? Otóż jest to nader piękne zwierzę ciemno-gniadej maści, z lekką, białą strzałką na czole, o szerokiej piersi, nogach sarny i ciemnych, łagodnych, pięknych oczach. Jest to zresztą indywiduum, posiadające sławę europejską: jest to ni mniej, ni więcej tylko zwycięzca ze Lwowa, podobno z Pesztu, z Pragi czeskiej, a nakoniec wielki pogromca wszystkich austryackich i nieaustryackich koni z wielkiego Derby wiedeńskiego. Jest to własność pana Tarnowskiego. W Warszawie stanął do biegu z nader dzielnym biegunem Fripponierem i raczył go łaskawie zwyciężyć

bez oblania się jedną kropelką potu. Amatorowie żałują niezmiernie, że ten czworonożny bohater nie może stanąć do biegu o nagrodę dwóch tysięcy rubli, jako przeznaczoną wyłącznie dla koni, zrodzonych w Królestwie i Cesarstwie. Nagrodę tę wziął zatem inny koń, nazwiskiem Lanerkost, szczęśliwy, że pochodzenie uwolniło go od mierzenia się z tak strasznym przeciwnikiem.

Przedświt ma obecnie lat trzy, i jakkolwiek wychowanie jego niemało musiało kosztować, opłaciło się jednak nauczycielom, gdyż, jak słyszymy, w samym Wiedniu miał prócz zakładów zarobić panu swemu okrągłą sumkę dwanaście tysięcy rubli — nie licząc tego, co zarobił w innych miastach pomniejszych.

Dwanaście tysięcy rubli! Ładna sumka. Mój Boże, jakże też nierówno są rozdzielone sposoby zarobkowania! Oto, dajmy na to, jakiś uczony profesor uniwersytetu musi kilkanaście lat pracować głową na to, co Przedświt zarabia w ciągu dwóch minut i siedmiu sekund nogami. Jak wam się, mili czytelnicy, to porównanie podoba? Czy lepiej być człowiekiem z głową, czy koniem z nogami? Nie przesądzam kwestyi, ale wiem tylko tyle, że niejeden człowiek z głową, który całe życie biedę klepie, jak Lazarus, oddałby bardzo wiele, żeby tak raz w życiu koło

świętego Jana mógł się zmienić w takiego Przedświta, Grand Daniela lub coś podobnego.

Dwanaście tysięcy rubli, to nie żart. Ha! w Paryżu płacą po sto tysięcy franków, w Anglii pono jeszcze więcej.

Wyścigi trwać będą jeszcze trzy dni. Ile jeszcze który z czworonożnych bohaterów zarobi tysięcy rubli, nie omieszkamy wam donieść.

To są grube fakty. Cóż chcecie? Słyszałem ubolewających dżentelmenów nad tem, że u nas nagrody takie małe. Zapewne! Tacyśmy bogaci! Możemy sobie pozwolić.

Wyścigi wszakże to rzecz arcy-pożyteczna. Przyczynia to się do polepszenia ras krajowych. Istotnie, że wyścigi przyczyniają się do polepszenia ras krajowych, o tem nie wątpimy ani chwili, widząc, jak pod wpływem tej modnej zabawy szlachta krajowego pokroju zmienia się na świeżo wypieczonych baronetów i lordów angielskich. Jeżeli tę przemianę uważacie, mili dżentelmenowie, za poprawę rasy krajowej, to chętnie przyznamy wyścigom wpływ niepośledni; jeżeli jednak idzie o konie, to zupełnie inna sprawa.

W dorożkach naszych chodzą szkapy, Boże odpuść; w omnibusach naszych każde konisko przypomina chudością Barbarę Ubryk; chłopi nasi mają chmyzy tak małe, że się trawestacyą prawdziwych koni nazwać mogą; fornalki nasze

ledwie nogi włóczą wiosną za bronami. Gdzież więc znać wpływ waszych folblutów? Konie angielskie mogą poprawić nasze: nie spieram się o to; mogą i powinny, ale na to potrzeba hodować niejedną rasę biegunów, do niczego nie zdatną prócz wyścigów.

Powiedzcie, że wyścigi są szlachecką zabawą, zachowującą jeszcze odcień rycerskości — zgoda, o ile sami jeździcie, ale o pożytku ich niema co mówić.

Gazeta Polska, 1875, Nr 128 z dnia 15 czerwca.

XXIII.

Jeszcze wyścigi. — Wzruszenia. — Połamane nogi. — Z przeszkodami. — My i Anglia. — Gorzka prawda. — Fakty. — Piękne projekty. — Szosy Miechowskie. — Czego brak Miechowianom? — Przyszłość projektu. — Bajka o szpitalu. — Posiedzenia spółki jedwabniczej. — Jedwabnictwo i proboszcze wiejscy. — Miliony przyniosła fantowa loterya. — Upadek zabawy. — Ostatnia.

Oto i tydzień wyścigowy skończony. Nie przeszedł on bez dramatycznych wypadków. Aż dwa rumaki padły ofiarą własnej szybkości. W hipodromie rozlegały się strzały rewolwerowe, którymi usiłowano w humanitarny sposób skrócić cierpienia padłych na torze walki klaczek. Piękne damy znalazły sposobność do czułych wzruszeń, do okazania czułości serca, manifestującej się nazewnątrz w tkliwych francuskich wykrzyknikach: *O mon Dieu! o ciel! o pauvre Isaura!* do żałosnych ubolewań nad słabością swych nerwów i nakoniec do nieśmiało wypowiedzianych nadziei, że i następne, przypadające za dwa dni

wyścigi z przeszkodami, nie przejdą bez pewnych wypadków, które, mój Boże! bądź co bądź, urozmaicają jednak zabawę.

Tymczasem wyścigi z przeszkodami nadeszły i nie sprawdziły tych nadziei. Do wielkiego stiplczezu stanęły trzy konie, a po przesadzeniu kilku przeszkód, wszystkiego jeden biegał w szrankach bez jeźdźca, co nie zdołało rzeczywiście zadowolić głodnej wzruszeń ciekawości. Za to mniej zapalonym amatorom sportu dały wiele do myślenia wyścigi chłopskie, kończące, jak wiadomo, tę szlachetną zabawę. Otóż z wyścigów tych okazuje się po najskrupulatniejszem obliczeniu czasu, jakiego na obieżenie szranek potrzebują konie angielskie i domorosłe chmyzy chłopskie, że różnica na korzyść pierwszych wynosi zaledwie kilkanaście sekund na wiorstę. Tak jest, kilkanaście sekund, a jednak dla tych kilkunastu sekund ileż to zachodu i starań, ile hałasu, ile przeróżnych ceremonii, ile starterów, chorągiewek, meldowań, wagi, ile angielskiego szyku! Tworzą się dyrekcye, sprowadza się dżokiejów, zapuszcza się angielskie faworyty, nosi się angielskie paltoty, wyłamuje domorosłe szczęki na angielski sposób po to, ażeby mówić angielszczyzną, którą każda inna narodowość łatwiej rozumie niż angielska; chowa się całe stada długonogich rumaków, wybiera się z pomiędzy nich te, które mają nogi

najdłuższe, trenuje się je, ludzie i konie pocą się jak nieboskie stworzenia, wyrzuca się rocznie miliony złotych... i wszystko to dlatego, żeby potem przelecieć wiorstę o kilkanaście sekund prędzej niż to robi, naprzykład, niejaki Stacho Kałduniak z pod Wilanowa.

Ależ Stacho Kałduniak jeździł na swoim chmyzie cały rok, — dżentlemeni na swoich folblutach nie jeździli; Stacho orał nim, dżentlemeni nie orali; Stacho bronował, Stacho woził drwa do Warszawy, zboże na targ, słowem Stacho użytkował, dżentlemeni ze swoich nie użytkowali — nakoniec, Stacho, mimo, że nie rozumie co znaczy: *all right!* mimo, że dżokiejów nigdy inaczej nie nazywa, tylko «poganami», mimo nakoniec, że na swego folbluta arcy po mazowiecku «hetta!» woła i prętem lub postronkiem go popędza, jest jednym z najracyonalniejszych krajowych sportsmenów. Drugi wniosek zaś jest taki, że owe kilkanaście sekund większej szybkości koni angielskich są sekundami najkosztowniejszemi ze wszystkich sekund, z jakich składa się nasze ogólne życie, co przy równie ogólnej biedzie, przy powszechnych narzekaniach, przy długach, przy wiecznych terminach etc., jest wydatkiem podobno absolutnie naszą możność przechodzącym. Co do mnie, ostatecznie sądzę, że jeżeli mamy dość powodów zazdroszczenia Anglii wielu rzeczy, które nieprędko u nas

z dziedziny pragnień i pożądań do dziedziny istotnych faktów przejdą, to wcale nie mamy powodów do zazdroszczenia jej sportu, który tam przedstawia się zresztą jako wynik zbytnich, wiodących do ekscentryczności, bogactw, u nas zaś jest wypływem chęci naśladownictwa, rozpowszechnionej, prawda, wszędzie, ale nie obfitującej w jakiekolwiek realne owoce.

Nie potrzebujemy owijać w bawełnę prawdy, że zacofani jesteśmy w stosunku do Zachodu pod każdym względem. Nadewszystko jesteśmy goli w porównaniu z tąż zagranicą, jak Łazarze. Przemysł nasz jest żaden; na drodze handlowej stawiamy pierwsze kroki; nasi lordowie wraz z całymi ich majątkami mogliby być plenipotentami lordów zagranicznych; nasi posiadacze ziemscy, stanowiący jądro społeczne, wegetują raczej na swych gospodarstwach; nasi włościanie nie umieją czytać i pisać; nasi Żydzi, mimo wszelkich, czysto jednostronnych czy obustronnych usiłowań, są jemiołą na dębie. Tu gromady ludzi ciągną dwa za krótkie końce celem powiązania ich z sobą, a gdy który się urwie, przewracają się głowami na dół, a nogami do góry; tam znowu łapią rzeszotami wodę; ówdzie rzucają groch na ścianę, ówdzie budują domki z kart; gdzieindziej kręcą bicze z piasku; tam znów pracują, jak owa przysłowiowa Barbara, która, co w dzień uszyje, w nocy

rozpara; a wszędzie więcej — Bóg widzi — o wiele więcej «przygotowań niż dyalogu».

Ach, gdyby to projekty były faktami, czegóżby to nam brakło! Jeżeli piekło jest istotnie zabrukowane dobremi chęciami i pięknymi projektami, tedy zapewniam was, mili współobywatele, że my, którzy mamy najgorsze w świecie bruki w Warszawie, dostarczymy ich jak najwięcej i w jak najpiękniejszym gatunku dla Lucypera. Ile tam już tego materyału jest na składzie, tego nikt i porachować nie potrafi.

Dixi! Ale gdy chodzi o fakty, odpowiedź nie tak łatwa, a zamiast odpowiedzi: «cisza i cisza pośród błękitów!» Co u licha! czyliż nic się takiego nie dzieje, o czem mógłbym wspomnieć z całem uznaniem?... Czekajcie, niech sobie przypomnę. Aha! budują szosy w Miechowskiem; budują wcale nawet nie na żarty, bo za 300.000 rubli. Fakt to niemały, a nawet w dziejach samopomocy powiatowej niesłychany; zachodzi jednak ta drobna okoliczność, że jeżeli istotnie je wybudują, to popierwsze: nie będą mieli czem po nich jeździć, a powtóre: nie będą mieli co po nich wozić! — Jak to? spytacie. Tak to, mili chrześcijanie, widzę w tej chwili żabę, która z całem zaufaniem wyciąga nogę, prosząc, by ją okuć. Jeżeli jeszcze nie zrozumieliście o co chodzi, tedy powiem wam, ale do ucha, tak, aby mnie Miechowiacy nie usłyszeli, że w całem Miechow-

skiem kto wie, czyby znalazł 300.000 rubli gotówką; że nie mają na szosy pieniędzy, a choćby mieli na wybudowanie, nie będą mieli na utrzymanie ich, czyli na konserwacyę. Powiem wam dalej, że nie mają szpitali, nie mają szkółek, nie mają kas obywatelskich, nie mają straży pożarnych, nie mają żadnej rzeczy, która jego jest, a przedewszystkiem: nie mają pieniędzy. Powiem wam dalej, że projekt, jako absolutnie przechodzący fundusze gmin i obywateli, jest poprostu niemożliwy. Słyszałem raz, a nawet słyszałem napewno, że w pewnym powiecie złożono dość znaczną sumę na wybudowanie szpitala. Cel piękny! Ależ oto, kiedy suma już była, poczęto się spierać, jak wielki ma być szpital. — Jak największy! — wykrzyknął pewien więcej filantropijny niż ćwiczony w czterech działaniach arytmetycznych przewodnik przedsięwzięcia. Owóż postawiono szpital wielki, bardzo wielki, tak wielki nawet, że nie starczyło już pieniędzy na dach, na urządzenie wewnętrzne i na chorych. Są więc mury, niema tylko dachu; jest szpital, ale niema w niem łóżek i chorych. Ten przykład niechaj objaśni wam, dlaczego, mówiąc o szosach miechowskich, nie mogę wstrzymać się od sceptycznego uśmiechu, i dlaczego przychodzi mi mimowolnie na myśl, że przedsięwzięcie owo nie wygląda o wiele więcej seryo niż owo budowanie mostu za fant w grach towarzy-

skich, przy którem się mówi: Buduję most, potrzeba mi arkady, a tą arkadą jest pan ten a ten.

Otóż i jeden fakt ze społeczno-powiatowego życia. Chciałem wam przytoczyć go jako pocieszający; po bliższem jednak rozpatrzeniu się w nim, zgadzam się z tymi, którzy go pocieszny nazywają. Przechodzę teraz do drugiego faktu. W mieście naszem szum, hałas, zjazd, ludzi jak mrowia; ale działalność społeczna uśpiona, dlatego fakty śmiało mogę liczyć na palcach, bez obawy, że mi ich do końca felietonu zbraknie. Owóż tym drugim faktem było posiedzenie Spółki Jedwabniczej, odbyte dnia 17 czerwca we czwartek. Zebrała się garstka akcyonaryuszów, zagajono posiedzenie, i sejmik zawrzał życiem.

Stara to historya te posiedzenia: zawsze powtarza się na nich jedno i toż samo. Przedewszystkiem członkowie zaznaczają brak czasu, następnie ułatwiają sobie uprzejmie tracenie tegoż czasu przez spory i rozprawy o szczegółach całkiem podrzędnej wagi. Występują rozmaici mówcy, wspominają o upałach, o Adamie i Ewie, nieco o czasach starożytnych, przerywają sobie wzajemnie, przepraszają się, nazywają się «znanymi z gorliwości», napomykają o prasie peryodycznej, o wdzięcznej potomności, o spóźnionej godzinie, o nieprzyjemności uczu-

cia głodu i o wielu rzeczach, tak dobrze jedwabnictwa tyczących, jak i nie tyczących. Nieraz się zdarza, że dwóch mówców mówi odrazu, a wówczas jeszcze odzywa się dzwoneczek prezesa, co wszystko razem tworzy interesujące trio, osnute na temat przyszłego dobra jedwabników. Posiedzenie ostatnie dowiodło tej niezbitej prawdy, której dowodzą wszystkie posiedzenia, jakie się tylko u nas odbywają: że dziwnie nas Pan Bóg obdarzył płynnością słowa, która z lada powodu wzbiera i rozlewa się niepomiarkowanie szerokiem korytem.

Spółka Jedwabnicza naznaczyła roczne swe posiedzenia na 17-ty czerwca, dlatego, że jest to «sezon wełniany». Poprostu chodziło o danie możności ziemianom uczestniczenia w posiedzeniach, obznajmiania ich ze sprawą jedwabnictwa i skutecznego jej popierania. Otóż czy wiecie, czytelnicy, ilu też ziemian brało udział w posiedzeniu? Ani jeden. Czy wiecie, ilu ziemian liczy się między akcyonaryuszami? Łatwo zgadniecie. Czy wiecie, ilu interesuje się jedwabnictwem? Ani jeden.

A jednak jakże to ważna gałąź krajowego przemysłu! Mój Boże! gdyby mniej filisterstwa, gdyby mniej kiwania ręką nad każdą rzeczą, która jest nowością; gdyby mniej tego: «a! co tam!» gdyby mniej przechodzenia do porządku dziennego, którym jest obracanie wielkich pal-

ców na mniej więcej wydatnym żołądku, — jakież to kraj mógłby odnieść z tego z czasem korzyści! Gdyby, naprzykład, nasi proboszczowie wiejscy, między którymi większość ożywiona jest jak najlepszemi względem społeczeństwa chęciami, chcieli wziąć do serca tę sprawę i zająć się poważnie hodowlą jedwabników! Hodowla rzecz to łatwa, rzecz to nawet przyjemna. Zamiast łupić po nieszporach w maryasza z miejscowym wikarym, zamiast politykować o tem, co Francuz będzie robił na wiosnę, zamiast nakoniec sypiać po obiedzie i chrapać z pod kolorowej chustki, którą się od much twarz nakrywa, — czyż nie lepiej zająć się jedwabnictwem, ocieniać plebanię morwowemi drzewkami, krajowi zapewniać miliony w przyszłości, sobie jednać cichą wdzięczność potomnych i słodkie jeszcze za życia przeświadczenie, że się dla dobra bliźnich działa?

Powtarzaliśmy już nieraz i jeszcze powtarzamy, że gdy we Francyi zaprowadzano jedwabnictwo — wszyscy pseudo-rozsądni opierali się temu co sił: mówiono, że klimat niewłaściwy, że drzew niema, że to zabawka, że się to na nic nie zdało; słowem: mówiono to wszystko, co i u nas mówią ospalcy — a jednak dziś Francya ma setki milionów franków rocznie z jedwabiu i jedwabniczego przemysłu.

Mówicie, że niema u nas przędzalni, niema

fabryk. Bądźcie spokojni. Miejcie tylko jedwab, a znajdzie się to wszystko. Przędzalnie założą choćby p. Hille i Dittrich w Żyrardowie — byle tylko było co prząść i z czego materye wyrabiać. Poparcia zatem, poparcia, czytelnicy, dla spółki! Członkowie jej mogą sobie na posiedzeniach rozprawiać nawet i o potopie, a swoją drogą sprawy spółki idą teraz lepiej, raźniej, energiczniej; w kasie nie taka pustynia, jak dawniej; Towarzystwo nie rozwiązuje się, nie upada, nie kona. Owszem żyje i zamierza rozszerzać działalność; mają pouczać pragnących się uczyć, dostarczać morw, wydawać broszurki, założyć pismo. Był nawet projekt, aby członkowie puścili się w apostolski pochód po wioskach i miasteczkach dla nauczania, ale projekt ten niewielki wzbudził w członkach entuzyazm.

Popierajcie więc jedwabnictwo i spółkę! Nie o osobisty jeszcze teraz interes chodzi, choć wkrótce z interesem ogółu zapewne i osobiste korzyści się połączą. Tymczasem chodzi tylko o dobro ogółu, dla którego — jakkolwiek grzeszni, leniwi, niedbali — często gotowiśmy jeszcze wiele zrobić.

O czemże jeszcze napiszę wam, czytelnicy? Chcialbym już zakończyć ten odcinek, gdyby nie to, że o wzmiankę doprasza się jeszcze fan-

towa loterya, która trwała aż dwa dni, w sobotę i niedzielę. W niedzielę sprzedawano jeszcze bilety nierozebrane dnia poprzedniego i wydawano fanty. Wszystko tak, jak było. Kolorowe namioty; damy, jak kwiaty w namiotach; białe płótna, barwne chorągwie, muzyka, światła; deszcz nawet, ten nieodstępny towarzysz każdej loteryi, dopisał i tym razem; słowem: wszystko było, jak dawniej, brakło tylko takich tłumów, jakie bywały dawniej. Zabawy te spowszedniały do wysokiego stopnia i przestały być zabawami. Dawniej brał w nich udział cały wielki świat, tłumy zaś przychodziły oglądać ten wielki świat. Dziś wielki świat ani się pokaże, mamy nie przychodzą; kto przyjdzie, ten gra lub nie gra, jak chce, ale nudzi się, czy chce, czy nie chce. Ludzie pytają się siebie wzajemnie: co tu robić? Czy zabawa ma polegać na przypatrywaniu się sobie wzajemnem? Ależ wszyscy czynią to od rana do wieczora! Jeśli chodzi o piękne kobiety, więcej ich jest u Fliegego — krótko mówiąc: niema co robić! Tak rozumuje ogół. Fanty już nie nęcą. Opatrzyło się wszystko. Młodzieniec, wygrywający pończoszki, młoda panienka, wygrywająca brzytwy, nie robią już wrażenia. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że na loterye nie chodzi się dla czego innego, tylko dla ubogich. He! niedostateczna odpo-

wiedź. Wiadomo przecie, że Warszawianie wtedy tylko są hojni, kiedy się bawią.

Loterya więc nie poszła zbyt świetnie.

A jednak była to już ostatnia loterya.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 134 z dnia 22 czerwca.

XXIV.

Święty Jan dawny i teraźniejszy. — Termin. — Wianki. — Zamieranie obyczaju. — Posiedzenie akcyonaryuszów drogi Warsz.-Bydgoskiej. — Dwie koleje. — Oponent z zasady. — Nowe koleje. — Mój pesymizm. — Smutna rzeczywistość. — Przykłady naszej zaradności. — Popis przemysłu i rolnictwa w Kaliszu. — Z Sandomierskiego. — Straże pożarne. — Historya z beczką. — Drągi do bosaków. — Przy kolei Terespolskiej. — Trójpolówka. — Drewniane schody. — Miejscowe zwyczaje. — Wycięte lasy. — Historya o Icku Popycku i pewnym magnacie. — Icek psycholog. — Tow. Kredytowe. — Jubileusz. — Nasze winy. — Wakacye. — Przyszłość.

Nie tak to *illo tempore* bywało — mówi staroświecka piosenka, i ma wielką słuszność. Czasy zmieniają się; stare zwyczaje idą w poniewierkę, rozpływają się w falach zapomnienia, nikną, a odległość i różnica między przeszłością a chwilą obecną coraz większa.

Gdybym był poetą, wyśpiewałbym w pięknych rymach swój żal za poetyczną przeszłością; zauważyłbym w melancholiczny sposób

znikanie z życia poezyi, romantyzmu i miłości; a na dowód, że to wszystko znika istotnie, przytoczyłbym dzień Ś-go Jana i obchód wianków.

Czemże bowiem była dawniej, a czem jest dziś ta uroczystość Ś-go Jana?

Poeci prawią, że w dawnych, zamierzchłych czasach, w dzień ten, gdy słońce kryło już złotowłosą głowę za sosnowe bory, gdy powoli ciemniała różowa zorza wieczorna, a od surowego wschodu wytaczał się na widnokrąg srebrny miesiąc z rojami gwiazd - służebnic, wówczas cały kraj zmieniał się w jedno czarodziejskie koło nadzmysłowych złudzeń i omamień. Na wzgórzach błyskały światła sobótek; po rosie, z łąk i zielonych dąbrów, echo niosło głosy pastuszych ligawek i słowa pieśni i okrzyków: «Hej Kupała! hej wielki Kupała!» Źródła i strumienie szemrały uroczyście jakoś i tajemniczo. Czasem zaszumiał wielkim głosem bór i umilkł, jakby przerażony. Czasem przelotna chmurka przesłoniła blady księżyc, a wówczas w lesie wśród próchna i paproci połyskiwały niewidzialne nigdy światła. Stare sosny i buki zdawały się gadać prawie ludzkiemi słowy, jakby marzyć, jakby coś sobie przypominać. Tajemnicze szepty kończyły się ciszą. Naokół słyszałeś niby westchnienia, z poza światowych piersi wydobyte. W gęstwinie śmiały się leśne wile. Dziwożona, kołysząc się nad przepaścią, zwieszona

z gałęzi olchy, śpiewała: «Pójdź tu do mnie, chłopcze młody!» Po stawach i jeziorach wabiły świtezianki; z trzcin dochodziły wycia topielców. Dusze zmarłych obsiadały, niby kawki, samotne polne grusze. Na murach cmentarnych kwiliły duszyszki zmarłych bez chrztu dzieciątek. Po bagnach podskakiwały błędne ogniki. Wszędzie tajemniczo, straszno! Każda gałązka, złamana nogą zabłąkanego przechodnia, zdawała ci się mówić: «Nie chodź dalej!» Z ciemności boru wiało na nią przerażenie. Gałęzie krzaków chwytały za odzież, jakby broniąc dostępu do cudownego kwiatu paproci, o który, mimo widm, przestrachów i larw, kusili się goniący za skarbami, za szczęściem i za miłością młodzieńcy.

W takie to noce, ponad chłodne strumienie, ocienione wierzbą i kaliną, porosłe niezabudką, tatarakiem, warzęchą i płaskiem liściem lilii wodnych, wychodziły przy świetle pochodni, ubrane w bieli dziewice rzucać wianki na fale. I wianek wówczas unosił się lekko na drżącej toni, a za wiankiem rozlegał się plusk wioseł i wyciągały ręce młodzieńcze. Srebrny księżyc i czerwone pochodnie oświecały uroczystość. Czar chwytał wszystkie serca. Rzeczywistość zmieniała się w jeden fantastyczny poemat. Wszystko kochało i odwzajemniało miłość: dzie-

wice były niewinne, młodzieńcy cnotliwi, stali w miłości i mężni.

Tak to podobno było dawniej, a przynajmniej mówią poeci, że tak było. Ile w tem wszystkiem prawdy, a ile poetycznego zmyślenia, trudno przesądzać; to tylko pewna, że dziś czasy się zmieniły. A naprzód borów i lasów, w których działy się te świętojańskie cuda, już ani śladu: popłynęły do Gdańska, a w zamian sterczą czarne pniaki, na których najpowiewniejsze duchy, gdyby nawet chciały hasać, połamałyby sobie nogi z pewnością. Dalej, w duchy już dziś nikt nie wierzy. Świtezianki i rusałki, ubrane podług żurnalów, w biały dzień spacerują na wysokich korkach po Saskim ogrodzie, wabią nawet chłopców po dawnemu, ale ród ten dziwnie jakoś zmądrzał, i dziś już ani śpiewem, ani niezabudką nikt go nie wywiedzie w pole, «jeno mu trzeba posag położyć na stole». Dziwożony zmieniły się także niepomału. Jeżdżą na lato do wód, dzieci oddają bonom francuskim, a choć ciągną nieraz do przepaści... własnych mężów, czynią to w sposób arcy nowożytny, z pomocą rachunków od Włodkowskiej, Penkali i Thonnesa, z pomocą balów, koncertów, sezonów letnich i zimowych, wód, mody i kwaśno-słodkich wysileń dobroczynnych, w których co grosz na ubogiego, to tysiąc na tualetę.

Tak jest, czasy się zmieniły, a z nimi zmie-

niła się i czarodziejska uroczystość Ś-go Jana. Nie wiem, czy paproć kwitnie jeszcze, czy nie kwitnie, jak dawniej o północy, ale wiem, że Święty Jan to dziś przedewszystkiem termin. Tak, mój miły czytelniku! Zamiast iść chwytać wieńce dziewicze, musisz iść płacić ratę w Towarzystwie Kredytowem wiejskiem i miejskiem. Taka to teraz uroczystość. Na Święty Jan ekspirują twoje sola weksle; na Święty Jan wręczają ci pozwy; na Swięty Jan różne kasy przemysłowe przysyłają ci swoje awizacye; na Święty Jan kłania ci się Bank handlowy; na Święty Jan modlisz się napróżno do Dyskontowego; w ten dzień gospodarz podnosi ci komorne; w ten dzień płacisz sługi; rzemieślnicy nachodzą ci od rana mieszkanie; słowem: wszędy termin i termin, prawdziwa *dies illa, dies irae.*

Oto jest różnica dzisiejszego Świętego Jana od dawniejszego Kupały. Łatwo zrozumieć, iż wobec tych warunków, wobec tych arcy prozaicznych potrzeb i kłopotów, znikł dawny poetyczny charakter tej uroczystości. Najlepszy tego dowód mamy na obchodzie wianków. Kto dziś chodzi je puszczać? kto je chwyta i czego dziś one są symbolem? Mój Boże! mówią, że: niewinności. *C'est possible!* ależ skoro rycerska młodzież nie bierze już w tej zabawie udziału, czyż opłaci się puszczać na wodę taki symbol po to, ażeby go złapał przewoźnik? Z drugiej

strony, choćby prócz przewoźników brała udział w uroczystości i młodzież rycerska, to niejeden znów rozumuje, że nader małą jest satysfakcyą, zamiast dziewiczego, schwytać np. wieniec warszawskich rzeźników lub piekarzy. Nakoniec, jeżeli wieńce mają być symbolem niewinności, dlaczegóż puszczają je na wodę stolarze, rzeźnicy i piekarze? Ci ostatni, nie wiem napewno, czy puszczają, w każdym razie mogę wam zaręczyć, że jeśli wieniec ten składa się z bułek ich własnego wyrobu i pieczywa, tedy ryby mogą go, co jest nawet najprawdopodobniejsze, nie chcieć skonsumować; na wypadek przecież, gdyby go skonsumowały, niema obawy, żeby się która udławiła: wielkość bułek uspokaja nas zupełnie.

Owóż więc, wracając do wianków, zwyczaj ten traci swoje poprzednie znaczenie i coraz bardziej słabnie. Dawniej brały w nim udział nawet i wyższe klasy; dziś i średnie brać nie chcą. Któż zatem, prócz stolarzy etc., puszcza dziś wianki? Dziewice? Zapewne... Sądzę jednak, że jeśli dystyngowani młodzieńcy nie gonią za nimi po wodzie, to dlatego, żeby ich i na lądzie przyjąć nie chcieli. Zwyczaj był niegdyś piękny i poetyczny; dziś jest to blade jego odbicie. Na moście zbiera się gromadka ludzi, kręci się, poziewa. Zachodzące słońce pozłaca całą tę ceremonię ostatnimi promieniami i znika za dą-

lekiemi drzewami. Ludzie ciskają kilka niby wieńców na wodę; rozchodzą się, nie rozumiejąc co robili, dlaczego i na jaką pamiątkę to robili — i nakoniec idą pokrzepić się w poblizkich restauracyach, co, jak się zdaje, dziś stanowi właściwy cel zabawy.

Dziś niewdzięczny to materyał nawet dla felietonisty, sławiącego z zasady stare zwyczaje; wolę więc przejść na inne pole, które i dla was, czytelnicy, może będzie ciekawsze. Powiem wam na ucho, że byłem na posiedzeniu akcyonaryuszów drogi żelaznej Warszawsko-Bydgoskiej. Mówię wam to na ucho, dlatego, że na takich posiedzeniach nie wolno bywać nikomu więcej prócz samych akcyonaryuszów — ja zaś... Mniejsza o to, nie lubię dotykać tej materyi; dość, że na posiedzeniu byłem, byłem przez ciekawość, która jest moją obowiązkową wadą, i dla zdania wam sprawy, jak się podobne posiedzenia odbywają.

Nakoniec byłem jeszcze i dlatego, bo sądzę, że tak, jak dobrze jest być widywanym pod rękę z pryncepsami rodu lub pieniędzy, tak również dobrze pokazywać się na zgromadzeniach akcyonaryuszów kolei żelaznych. Co chcecie? znałem człowieka, który tak często chwalił się wysokiemi znajomościami, że gdy ktoś przy nim pewnego razu narzekał na upał, ów odpowiedział: Istotnie jest gorąco, powiadam wam,

że dziś takeśmy się spocili z Branickim, że to okropność! — Mój drogi, spytał go ów k t o ś, dlaczego ty się nigdy z kim innym nie pocisz, tylko zawsze z Branickim? Nie było odpowiedzi, ale łatwo się jej było domyślić. Ot wolał się pocić z Branickim, niż z kim innym chłodzić. Tak i ja: wolę być na posiedzeniu akcyonaryuszów niż gdzieindziej. Jak się człowiek o akcyach nasłucha, zdaje mu się, że sam ma akcye.

Owóż takie posiedzenie, to jest rzecz arcy poważna. Chodziło na niem o to, czy droga Warszawsko-Bydgoska ma mieć wspólny zarząd z Wiedeńską, czy też swój własny. Pewien akcyonaryusz drogi Bydgoskiej oskarżył Wiedeńską, jakoby ta Bydgoską wyzyskiwała. Obraziło to akcyonaryuszów drogi Wiedeńskiej, którzy też zaprojektowali rozdział. Wtedy padł strach na Bydgoszczyków; trzeba wam bowiem wiedzieć, że droga Bydgoska niewielka jest, zysków nie przynosi, trzeba nawet do niej dokładać; gdyby zaś miała oddzielny zarząd, oddzielną stacyę, oddzielne warsztaty mechaniczne, potrzebaby było dwa razy tyle dokładać. Padł więc, mówię, strach. Pokazało się, że stosunek drogi Wiedeńskiej do Bydgoskiej jest taki, jak mamki do dziecka. Niewczesny opiekun sądził, że dziecię urosło, że może samo chodzić, aż tu pokazało się, że za pierwszym krokiem prze

wróci koziołka. Opiekun sądził, że samo na chleb zarobi, a pokazało się, że samo do ust pokarmu zanieść nie zdoła. Trzeba było na to zaradzić; stąd wynikła konieczność obgadania. Owóż akcyonaryusze drogi Wiedeńskiej, obrażeni insynuacyami wyzyskiwania, uradzili, żeby się po upływie oznaczonego terminu rozłączyć; akcyonaryusze zaś bydgoscy uchwalili, żeby się nie rozłączać. A opiekun? Dziwny to zaiste fakt. Występując przeciw drodze Wiedeńskiej, opiekun występował niby w obronie interesów akcyonaryuszów bydgoskich, a jednak ciż sami akcyonaryusze uznali jego wystąpienie za bezzasadne i na rozwagę nie zasługujące. O niewdzięczności akcyonaryuszów! I cóż wam szkodzi, że ktoś protestuje dlatego, żeby protestować, że ktoś sztukę dla sztuki uprawia? Napozór sądziéby można, że wszelka opozycya powinna mieć powody realne, natury czysto przedmiotowej. Pokazuje się, że to fałsz. Pokazuje się, że można urodzić się oponentem, tak, jak flegmatykiem, sangwinikiem i tym podobnie. Jest to sobie temperamencik taki sam, jak i każdy inny. Achilles, jak to wiemy z «Pięknej Heleny, urodził się «wrzący-zacięty, wrzący-zacięty» — i z góry wchodząc na scenę, sam to zaznacza. Kogóżby więc to, o akcyonaryusze, dziwić mogło, gdyby ktoś, urodziwszy się opo-

nentem, wchodząc na posiedzenie, również z góry zapowiadał:

Jestem oponent z zasady, ponent z zasady,
[ponent z zasady,
Jestem negatywny, tywny, tywny mąż,
Da-rem-ne wszelkie obrady, wszelkie obrady,
[wszelkie obrady,
Ja protestuję, tuję, tuję, tuję wciąż.

Nie można zmienić własnej natury tak samo jak nie można płynąć przeciw wodzie. Wyobraź sobie, o czytelniku akcyonaryuszu, że masz taką negatywną naturę, i że jesteś na posiedzeniu, na którem o godzinie południowej zapada jednozgodna uchwała akcyonaryuszów, że jest widno. Cóż wówczas robisz? Rzecz bardzo prosta, oto wstajesz i mówisz:

«Proszę o głos, albowiem uważam, że się ściemnia i protestuję przeciw światłu». Nie dziwcie się więc, gdy kto protestuje, skoro w ten sposób oddaje dług wymaganiom swej natury. Nie dziwcie się także, gdy ktoś przerywa kwestyę w taki sposób, jak ten, który w nocy przyszedł oświadczyć komuś, poszukującemu przez gazety towarzysza w drogę do Krakowa, że do Krakowa nie ma zamiaru wyjechać. Wszystko to zależy od natury, a w najgorszym razie dowodzi odwagi cywilnej.

Akcyonaryusze owóż kolei Bydgoskiej uchwalili, mimo opozycyi członka-oponenta, żeby się

z Warszawsko-Wiedeńczykami nie rozłączać. Prócz tego, dla wytrzymania konkurencyi z przyszłą drogą Nadwiślańską, ciż akcyonaryusze polecili Radzie zarządzającej, aby przedsięwzięła gdzie należy starania o uzyskanie prawa budowania jeszcze kilku niewielkich, ale nadzwyczaj ważnych linii (Ostrowiec, Słupca) kolei, zmieniających drogę Bydgoską w najkrótszą odległość między Moskwą a Berlinem, czyli między całym Wschodem a całym Zachodem. Podzielamy w zupełności życzenia akcyonaryuszów i poświęcamy im (to jest życzeniom, nie akcyonaryuszom) kilka gorących westchnień. Żebyż! ach, żebyż! Każda kolej to linia, po której biegną nie tylko lokomotywy, ale i bogactwa, nietylko bogactwa, ale i światło. Podniosłaby się zamożność ogólna i umysłowość ogólna.

Mój Boże! pomawiają mnie o pesymizm, o umyślne przesadzanie w ciemnych barwach ile razy dotykam stosunków miejscowych. Pominąwszy już źródło tego pesymizmu, które, Bóg widzi, czyste jest i przejasne, osądźcie sami, czy ja mam zbyt zakopcone szkła na oczach, czy też rzeczywistość ciemna jest i smutna. Czytujemy korespondencye z prowincyi. Oto w Kaliszu był np. rodzaj wystawy pod nazwą: «popis przemysłu i rolnictwa». Wszystko udało się wybornie. W żywe oczy postawiono dowody, że okolica zamożna jest, dobrze uprawna i pod rol

niczym, równie jak i przemysłowym względem wysoko posunięta. Śliczne były okazy fabryczne i rolnicze. Śliczne były rasy bydła, owiec, śliczne zboża, bajeczne jarzyny, a wszystkiego w bród. Bogdaj tak wszędzie! — powiecie czytelnicy, ale nim dokończycie okrzyku, zawołam: Bogdaj tak nigdzie!

Co znowu? spytacie zdziwieni. — Słuchajcie! Była na tej wystawie jedna dziwna i bardzo dziwna strona. Oto między większością przepysznych okazów rolniczych, między temi świadectwami inteligencyi, bogactw i pracy, kryły się okazy wprost przeciwne. Kryły się po kątach, jakby wstydząc się same za siebie: marne, ubogie, wątłe, również prawdziwe świadectwa ubóstwa i obliczonej z dnia na dzień wegetacyi. A teraz, czy wiecie, czyje były te okazy? Pierwsze były niemieckie, drugie nasze. A! więc to nie mój pesymizm, czytelnicy, to rzeczywistość, którą oglądały oczy wszystkich obecnych, o której pisali korespondenci do wszystkich pism — rzeczywistość tak bolesna, że nawet szydzić z niej nie można, ale ubolewać razem z wami wypada. Majątki tam najlepsze w rękach obcych, inteligencya w głowach obcych, wytrwałość w duszach obcych, pieniądze w workach obcych. A żywioł swoich? Ustępuje powoli. Miejsce naszych wielmożnych, zajmują obcy przybylce, nie poczynający gospodarstwa od

czwórek, «mości dobrodzieju, dobranych», od «koczyka, mosterdzieju, dla imości, wiedeńskiego» — ale też i nie kończący na westchnieniach o radcostwo w Tow. Kredytowem, z symulacyjnego dziedzictwa, przez dobroć łaskawych sąsiadów.

Dlaczego wam mówię to, czytelnicy, skoro wiem, że wam słyszeć boleśnie? Mnie równie boleśnie, ale nie o to tu chodzi. Mówię prawdę, bo trzeba, żebyśmy ją sobie mówili, nie oszczędzając się wzajemnie. Mówię prawdę i ostrzegam. To nasza — prasy — rola.

Ale biorę inną korespondencyę do ręki, z innych okolic kraju, z Sandomierskiego. Słuchajcie.

«Nasze fortuny — mówi mniej więcej w tych słowach korespondent — toczy jakby jakaś ukryta wewnętrzna choroba, jakiś rak, na którego niema już środka. Ziemia tu wyborna, życia nad stan nikt nie prowadzi, a jednak Tow. Kredytowe raz w raz wystawia na przymusową sprzedaż najpiękniejsze fortuny. Kulturtregerzy jeszcze nie przedarli się do nas, ale etc....»

Przyjdzie i na to czas. Piękna pociecha.

A teraz jeszcze jeden przykład naszej zaradności i troskliwości obywatelskiej.

— O! bardzo się obecnie obawiam o nasze miasteczko, mówił jeden z moich znajomych,

Żydzi poubezpieczali się wysoko: może być źle. O pożar łatwo.

— Powiedz mi, dlaczego nie założycie ochotniczej straży pożarnej?

Mój znajomy wziął się za boki i począł się śmiać długo i serdecznie.

— I któż będzie do niej należał? Ja jeden.

Pytałem, czy przynajmniej mają narzędzia pożarne: beczki, topory, bosaki do zdzierania dachów i tym podobne? Odpowiedziano mi, że tak jest. Przed laty kilku kupiono beczkę. Na nieszczęście, z jednego jej końca spadła obręcz. Zawołano więc bednarza, żeby ją nabił. Ale na nieszczęście, gdy ją nabijał na jednym końcu, spadła druga obręcz na drugim końcu. Bednarz, który nad pierwszą napracował się cały dzień, odłożył drugą na dzień następny. Przyszedł dzień następny, bednarz nabił drugą, ale spadła pierwsza, trzeciego znów druga, czwartego znów pierwsza — i tak już od kilku lat: co jednego dnia nabije z jednej strony, to zleci z drugiej. Skutkiem tego, poczciwy bednarzyna ma już od kilku lat robotę, i jeżeli pójdzie tak dalej, i klepki się wreszcie rozlecą, będzie ją miał do końca życia. Ale co będzie w razie pożaru? Co się tycze innych narzędzi, do bosaków nie mają wprawdzie jeszcze okuć, ale mają już kije. Pognilo to tam wprawdzie trochę, bo raz osunęło się ze ściany, o którą było oparte,

i wpadło do kałuży przed zajazdem, która i podczas największej suszy nie wysycha, a jak wpadło przed czterema laty, tak nikomu nie przyszło jakoś do głowy wydobyć.

Podobne, z małemi zmianami, środki przeciw strasznemu żywiołowi są w rozporządzeniu mieszkańców każdego powiatowego miasteczka, możemy więc spać spokojni. Bo i dlaczegóż to się obawiać? Jak kogo nieszczęście ściga, może wyszedłszy poważnie na ulicę nogę złamać, a kto inny, choćby po stołach skakał, nie złamie.

Wyrwało mi się nietrafne porównanie: przepraszam! Jeżeli kto łamie nogę na naszych ulicach i naszych brukach, nic to dziwnego.

I to przykład wrodzonej nam zaradności.

Źle się dzieje w miastach, źle i po wsiach. *A propos* wsi. Wyjeżdżałem niedawno koleją Terespolską, dosyć daleko, na Międzyrzec i Białą. Czy też wiecie, czytelnicy, że w tamtych błogosławionych stronach jeszcze drewnianemi sochami orzą, a na trójpolówkach gospodarują? Oto co się nazywa zachowywać stare obyczaje! Wszystko, jak było za króla Ćwieczka. W czytanie i pisanie oczywiście nie bardzo się tam bawią, są to bowiem pomysły zamorskie. Czytają kalendarze; prócz tego, w jednym inteligentniejszym domu znalazłem dzieło pod tytułem: «Święta Genowefa, czyli niewinność ucie-

miężona na puszczy. Anno 1756». Co do pisania zauważyłem jedną okoliczność, którą prawdopodobnie miejscowym zwyczajom przypisać należy. Oto wyraz wtorek, piszą powszechnie przez *f*.

Między majątkami jest tylko jeden, zagospodarowany świetnie i urządzony na płodozmian; ale to tam mówić nie warto: właściciel ma nazwisko niemieckie.

Ale, ale, zapomniałem: byłbym skrzywdził tamte strony. Widziałem jedną rzecz postępową: wycięli swoje lasy.

Wycięli: widać całe obszary pokryte pniakami. Wycięli i sprzedali Żydom, którzy sprzedali tam jeszcze komuś i t. d. Nie było nas, był las...

A teraz opowiem wam małą historyę o Icku Popycku. Historya nie z Bajarza, ale z rzeczywistości. Tego Icka Popycka nawet znacie. Dzisiaj to milionowy pan; zrobił ogromną fortunę na lasach, w jaki zaś sposób ją zrobił, właśnie prawić zamierzam.

Był szlachcic-pan, ale to pan całą gębą. Dobra krew, ogromna fortuna, ogromna fantazya; słowem: wszystko Bóg dał, niczego nie odmówił. Ożenił się z córką magnata, wziął dobra ogromne i wyjechał za granicę.

W dobrach tych szczególniej cudne miał

lasy: starodrzew! sosny gubiły w niebie wierzchołki, a dęby, a buki, a wszelki rodzaj drzewa!

Wśród tych lasów była fabryka, co lasom nadawało olbrzymią wartość, w tych bowiem czasach jeszcze kamiennego węgla nie używano.

Otóż Icek Popycek postanowił sobie kupić te lasy.

Kupić? Łatwo powiedzieć. Ale jak kupić? Właściciel bogaty jak Krezus, siedzi za granicą i ani myśli sprzedać.

Jak ktoś czego nie chce sprzedać, to napozór zdaje mi się, iż tego kupić poprostu niepodobna.

Wszelki rozum wobec takiej alternatywy przestaje działać.

Tak, wszelki, ale nie Icka Popycka.

Wyobraźcie sobie zdziwienie naszego szlachcica-magnata, gdy pewnego poranku otwierają się drzwi pysznego numeru w Grand Hôtel na Bulwarach w Paryżu i wchodzi kto? Icek Popycek.

Tak, tak, Icek Popycek w Paryżu, z pejsami, w chałacie i z fajką porcelanową, wyglądającą wygiętym cybuszkiem z tylnej kieszeni.

Uradowała się dusza naszego magnata. Zobaczyć w Paryżu coś tak *par excellence* swojskiego, któżby się nie uśmiał i nie ucieszył! Zerwał się:

— Icek, jak się masz?!

— Paam do nóg Jasnege Pana.

— Co ty tu robisz?

— Ja za interesami. Ot jak zwiczajni Żid.

I rozmowa potoczyła się żwawo; aż po niejakim czasie Icek mówi:

— Ja mam do Jasny Pana wielgą prośbę.

— Co takiego?

— Ja mam tu 200 tysiąców franków, co odebrałem po żonie; tego po jej krewnych. Tyle pieniędzy! ja się boję. Tu same złodzieje i rozbójniki. Niech Jasny Pan mi to schowa. Ja może za pół roku, może za rok przyjadę znowu i odbiorę.

Jasny pan nie chciał, nie chciał, wzdragał się, wreszcie ustąpił i pieniądze schował.

Icek Popycek wyjechał z Paryża, i wkrótce pan o nim zapomniał. W Paryżu, jak w Paryżu, jest dużo wrażeń, robi się wiele znajomości. Nasz magnat porobił nawet znakomite, poznał się bowiem z członkami świty zmarłego cesarza Napoleona III.

Byli to dżentlemeni, niektórzy wysoce urodzeni, wszyscy bogaci, świetni, wspaniali; używali życia, podróżowali, uwodzili kobiety i polowali; jeździli na wyścigi, grali.

Grali nawet gracko.

Raz nasz rodak, skuszony może widokiem

złota, może chcąc szczęścia próbować, usiadł z nimi do gry.

Przegrał.

Przegrał 800.000 franków i zapłacił częścią swoją gotówką, częścią Icka.

Na drugi czy trzeci dzień zjawia się Icek.

— Paaam do nóg Jasnege Panu.

— A! to ty. Co powiesz?

— Chcialem Jaśnie Pana prosić o swoje pieniądze. Trafia mi się geszeft na las. Ech! ce, ce, ce, co za geszeft. Jaki las, drugi raz się taki nie zdarzy: miliony zarobię.

Magnat przechodził się szybkim krokiem po pokoju. Nagle stanął.

— Co? co?

— Eh, jaśnie panie, co za las! Ce! ce!

— Czego ty masz kupować u obcych? Kup u mnie.

— No, jeśli jaśnie pan tanio sprzeda...

Reszty domyślacie się, czytelnicy. Psycholog Icek Popycek znał grunt, na którym budował. Icek Popycek był wielkim dyplomatą, wielkim, w swoim małym rodzaju, wodzem. Wygrał ogromną kampanię, zrobił ogromną fortunę i dziś cieszy się wielkiem uznaniem, tych zwłaszcza, którzy jeszcze mają lasy do sprzedania.

Z drugiej strony historya ta maluje i nas doskonale. Byle pieniądze w rękę, oho! Mówi się sobie: pójdą na wkłady gospodarcze, na ulep-

szenia, na spłatę długów etc. etc. A w rzeczywistości idą... gdzie? Ot, do ludzi. Rozłażą się. Część się przeżyje. Teraz już tego mniej: zbytków po wsiach i życia nad stan już niewiele, a jednak...

...A jednak dzisiaj na dobrach szlachcica.
Ciężą przeważnie te listy zastawne!

Towarzystwo niedawno właśnie obchodziło swój pięćdziesięcioletni jubileusz. Potężna to instytucya, jakże pożyteczna, jak zbawienna, a jednak... echo powiada:

«Ciężą przeważnie te listy zastawne!...»

Listy jak listy — dziś niejeden podjąłby się ten ciężar dźwigać — ale raty! Dawniejsze to jeszcze często grzechy, często grzechy ojców, którym się jako zmarłym, a zmarłym nie bez zasługi także, nic wymawiać nie godzi. Hej, cóż to i robić? Pracować i pracować.

Na zakończenie odcinka jeszcze jeden fakt z naszego ogólnego żywota. Rozpoczęły się wakacye: całe setki i tysiące naszych dzieci porzuciły na kilka miesięcy ławy szkolne. Domy winny dopełniać teraz tego, czego szkoła dać nie może. Niema szkół na świecie, któreby wpływ domów, szczególniej wpływ matek, czyniły zbytecznym. Sądzę nawet, że bez tego wpływu, wiedza sama pozostaje tylko siłą, która zarówno na złe, jak na dobre może być użytą.

Niechaj więc wie to młode pokolenie, że prócz wiedzy, trzeba jeszcze i innych czynników społecznych, że aby służyć społeczeństwu, potrzeba wszystkich cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 140 z dnia 30 czerwca.

XXV.

Dzieci wiejskie. — Bez opieki. — Ochrony wiejskie i znaczenie ich w społeczeństwie. — Egzaminy i popisy. — Instytut muzyczny. — Instytut głuchoniemych. — Cisza letnia. — Czasy ogórkowe. — Różne choroby. — Wyjazdy za granicę. — Rewolucya w bibliotece. — Wieści. — Urzędnicy kolei Terespolskiej. — Kółko czytelnicze. — Inni urzędnicy. — Kąpiele. — Nurki.

Zdarzało się wam zapewne nieraz, czytelnicy, przejeżdżając latem przez pierwszą lepszą wioskę, widzieć całe girlandy dzieci wiejskich, siedzących pod ścianami chałup, pod karczmą, albo poprostu na środku drogi, bez zajęcia, ot tak poprostu na woli Bożej. Te zgrzebne koszulki, poprzepasywane czarną krajką, konopiaste główki jak makówki i niebieskie oczy, wytrzeszczone nawpół ciekawie, nawpół lękliwie, na świat Boży — rzecz to znana, która chyba tylko przybysza miejskiego zająć może. Spytacie: co robią takie dzieci? Wioska pusta, bo rodzice wyszli w pole; przed chatami, prócz dzieci,

tylko psy drzemią i wróble świergocą pod strzechami, więc dzieci robią co chcą. Przepalają sobie głowy, przewracają się po piasku, łapią ryby w kałużach; ciągną dla zabawy za ogony psy miejscowe; otwierają kołowrot, gdy kto przejeżdża, kłusując potem boso koło bryczki za datkiem — ot i czas schodzi. Starsze często przytem skazane bywają na niańczenie młodszych. Nieraz chłopak ośmioletni cały dzień dźwiga jakiego roczniaka lub roczniaczkę, bo tak «matula kozeli», a co gorsza, przywiązali płachtą dzieciaka do opiekuna tak, że ten ostatni, choćby chciał, nie może razem z innymi wyprawiać się na cudzy groch przy drodze, lub na gruszki do dworskiego ogrodu, którego Żydzi pilnują. Bo trzeba wam wiedzieć, że te dzieciaki o konopiastych główkach kradną. Tak jest, dlaczegóżby zresztą kraść nie miały? Nie oduczy ich tego matka, bo matka świtaniem wychodzi do roboty, a nauczy ich tego każdy wróbel, żyjący cudzem ziarnem, zachęci każde jabłko, zwieszające się ponętnie przez parkan ogrodowy. Wstrzymuje ich tylko strach, ale zarazem pobudza nadzieja, że nikt nie patrzy, a choćby też im kto powiedział, że Bóg patrzy, nie miałoby to żadnego znaczenia, bo trzeba wam i to jeszcze wiedzieć, moi religijni, wykształceni i humanitarni czytelnicy, że dzieci te żyją bez Boga. Tak jest, bez Boga. Są to bezwiedni ateiści. Kiedy trochę

podrosną i poczną chodzić do kościoła, wówczas dowiedzą się o piekle i niebie, ale przedtem?... Jeżeli matka znajdzie nawet czas i ochotę do wyuczenia dziecka pacierza, dziecko powtarza mechanicznie wyuczone słowa, i na tem koniec.

Co chcecie? każde z nich jest tak dorosłym indyferentystą, że zawstydziłoby niejednego głośnego filozofa. Chowają się na łonie natury, tak, jak dzieci... Hotentotów. Same rozglądają się po szerokim świecie. Same zwolna poznają, co jest złe a co dobre. Uprawiają filozofię eksperymentalną. Złem, wedle nich, jest dać się złapać na uczynku, dać sobie zabrać czapkę grochu, dostać w skórę; dobrem — najeść się cudzego grochu, nie dać sobie zabrać czapki, nie dostać w skórę. Żal za złe popełnione jest żalem, że się nie udało. Gdy Franka, Walka lub Krzycha złapią na gorącym uczynku kradzieży gruszek, wówczas wsadza palec w usta, wytrzeszcza zawstydzone oczy, robi minę kozła w kapuście i żałuje... zgadnijcie czego? — gruszek! Naturalnie, że gruszek.

O biedny, płowowłosy Krzychu, widzę jak na dłoni twoją przyszłość! Jak nie umiesz teraz czytać i pisać, tak nie będziesz umiał do śmierci, niebożę! Gdy wyrośniesz, będziesz nocami jeździł w szkodę w cudzy owies z końmi. Sąd gminny sądzić cię będzie za to, żeś z siekierą w cudzy las pojechał, a ty do śmierci nie bę-

dziesz mógł zrozumieć, żeby między «wzion» i «ukradł» nie było żadnej różnicy. Potem, o Krzychu! zasmakujesz w wódce, nauczysz się przeklinać i wzywać «siarczystych», będziesz tłukł swoją babę, aż będzie w niebie słychać; będziesz wadził się z sąsiadami; Żyd będzie cię wyzyskiwał całe życie, bo cię rachować nie nauczono. Będziesz ciemny, obywatelu, jak tabaka w rogu; będziesz głupi i zły całe życie — boś był bez opieki za młodu, bo matula nie mogli, nie chcieli i nie umieli nauczyć cię bojaźni Bożej i miłości do ludzi. Będziesz wprawdzie jęczał nieludzkim głosem w kościele, gdy ksiądz głos podniesie, a po mszy pójdziesz do karczmy i pobijesz się z drugim, takim samym jak ty biedakiem. A potem, Krzychu, postarzejesz: włos się posrebrzy, ramiona się ugną od pracy, ręce drżeć poczną, i czy wiesz, Krzychu, co się stanie? Oto syn, którego także nie uczyłeś bojaźni bożej, ani miłości do ludzi, wypędzi cię z chaty i każe pójść żebrać po świecie. Sprawisz kosztur z jeżem, broda wyrośnie ci siwa, i z piosnką o Maryi Częstochowskiej i o Dzieciątku Jezus puścisz się w świat szeroki. Aż wreszcie przyjdzie niemoc, uczujesz zimno jakieś, i smutek jakiś, i niby wołanie jakieś z niezmiernych głębin. To śmierć twoja, Krzychu. Miłosierdziu boskiemu oddaję twoją biedną duszę, bo choć grzeszny byłeś, ale ciemny. Niechaj ci świeci

światłość wiekuista. Wrzosem pokryje się twoja mogiła, i ani śladu wkrótce nie będzie po tobie i po tysiącach takich, jak ty.

Kto zna nasz lud, ten wie, że obraz to życia chłopskiego nie przesadzony. Dziś może już jest lepiej, boć zamożność ich wzrosła, a za wzrostem zamożności wzrasta moralność i światło; ależ mimo wszystkiego, jakże nizko jeszcze stoimy! Jak nizko stoimy np. w porównaniu z sąsiadami naszymi. Któż nie wie, że w starszem pokoleniu włościan, prawie nikt nie umie czytać, a w młodszem jeszcze malo kto! Któż nie wie, jak nizko stoi poziom moralny, jak słabe jest poszanowanie cudzej własności, jak nierozwinięte pojęcia o dobru ogólnem! Chcecie przykładów? Dobrze. Czy sądzicie, że zwyczaj wyprawiania starych rodziców na dziady jest czemś nadzwyczajnem? Nie, to rzecz codzienna, zwyczajna, to prawie zwyczaj. Chcecie dowodów na to, że nie szanują cudzej własności? Spytajcie pierwszego lepszego wiejskiego posiadacza o szkody, jakie mu robią. Nakoniec, że nie mają pojęcia o dobru publicznem, na dowód pokażę wam drzewka przydrożne. Zasadź dziesięć razy: zniszczą, połamią, jakby przez umyślną złośliwość.

Ale czyż można się temu dziwić? i czy to ich wina? Spojrzyjcie na te dzieciaki płowowłose — oto wytłómaczenie zagadki. Bez matki,

bez Boga w dziecinnych latach, chowane same przez się, zdziczałe, zatępione, skąd mają być innemi później? To jedno słowo: bez opieki, tłómaczy wszystko. Duchowni, działając na natury już stwardniałe, i działając ogólnie, zastąpić matki nie mogą; nie mogą sprawić, by imię Boże, by pojęcia o dobru, o uczciwości zrosły się tak z naturą dziecięcia, żeby jeden niejako organizm z nim utworzyły. Nie, duchowni wiele mogą, ale tego nie mogą, bo taką pracę potrzeba niemal od niemowlęcych lat zaczynać. Na to niedosyć jest nauczać — trzeba wychować. Ale czego chcesz? — spytacie — i do czego dążysz? — Nie chcę tym felietonem nawracać matek wieśniaczych, by zamiast chodzić w pole, wychowywały dzieci. Nie, jest inna na to rada. Matki muszą pracować, ale niemniej dzieci muszą i powinny być wychowywane. Na to jest jedna rada:

Ochronki.

Nie mówcie, że w zakładaniu ochronek trafia się na jakiekolwiek przeszkody. Tak jest, trafia się na ospałość, na lenistwo, na obojętność, ale na nic więcej. Władza pozwala zakładać ochronki. Znam wioski, gdzie one istnieją, kwitną, przynoszą moralne korzyści. Inna rzecz szkoła, inna ochronka. W wioskach tych, gdy ojcowie i matki wychodzą na robotę, dzieci od najmłodszych do kilkunastoletnich zbierają się

w umyślnym budynku, gdzie znajdują troskliwą opiekę, gdzie czuwają nad ich zdrowiem i nad ich moralnością, gdzie je zajmują robótkami i tym podobnie. W okolicach, w których niema szkółek ludowych, które zresztą mało gdzie się znajdują, ochronki takie są prawdziwem dobrodziejstwem dla dzieci. Wzrasta ich moralność i oświata, zmniejsza się śmiertelność. Te skutki starczą za wszystko. Ochrony takie i ochroniarki powinny być utrzymywane przez dwory. Powiecie, że dwór nie ma obowiązku zajmować się losem sąsiadów włościan. Być może. Nie ma obowiązku płynącego z wzajemnych stosunków, ale ma obowiązek chrześcijański i obywatelski. Budynek, a raczej pierwsza lepsza obszerna izba na wsi, niewiele kosztuje. Utrzymanie i pensya ochroniarki może się wrócić choć w części przez usługi, jakich poza ochroną, w godzinach wolnych, można od niej wymagać.

Mógłbym przytoczyć dwory niezbyt bogate, gdzie podobne zakłady istnieją, i istnieją kosztem dworów. Włościanie z początku patrzali na to, jak na każdą nową rzecz, nieufnie. Dziś przekonali się. Dawniej nie chcieli dzieci posyłać; obecnie na zebraniach gminnych sami uchwalają zapomogę dla ochron.

To są fakty, które lepiej od słów mówią.

Żyjemy w czasach szkolnych egzaminów, popisów i ciągłych wizyt w ochronach war

szawskich, które to wizyty skłoniły mnie do wypowiedzenia słów powyższych. Co do innych zakładów, mieliśmy niedawno popis Instytutu muzycznego, który to fakt tyle tylko pewną ma doniosłość, że Instytut popisuje się bardzo często. Z natury rzeczy wypada, że instytucya ta, jako muzyczna i muzykalna, musi być głośniejsza od innych.

Odbył się także popis w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, który to zakład prowadzony jest u nas w ten sposób, że nietylko dorównywa podobnym zakładom zagranicznym, ale je nawet przewyższa. Istotnie, tam dopiero można się było przekonać, co wychowanie i system zrobić mogą. Dość powiedzieć, że między wychowańcami Instytutu jest młodzieniec z natury głuchoniemy, którego wykształcenie posunięto do tego stopnia, że może czytać każdą książkę, nie wyjmując i filozoficznych. Sądy jego o poezyi są tak trafne, że podpisałby się na nich niejeden z recenzentów estetycznych. Trudno prawie uwierzyć w to wszystko, co się tam widzi i słyszy. Uczniowie, opuszczający Instytut, wychodzą jako ukończeni rzemieślnicy; każdy z nich może zapracować sobie na kawałek chleba, każdy może stworzyć kółko rodzinne, żyć w społeczeństwie ludzkiem, z którego sama natura pragnęła go wyłączyć, i być

tegoż społeczeństwa prawdziwie pożytecznym człowiekiem.

Z tych to powodów żadna prawie instytucya naukowa nie cieszy się taką sympatyą publiczności jak powyższa, i można śmiało rzec, że gdyby wszystkie w równym stopniu spełniały swe zadanie, wówczas wychowanie stałoby u nas tak, że pozazdrościćby nam mogli wszyscy. Kiedy spojrzysz na jej pupilów, wówczas zdaje się, że świadectwo doskonałości zakładów wyryte jest nawet na ich twarzach. Natura stworzyła je smutnemi — rozweseliła je praca; natura, odebrawszy im potężny zmysł wzroku lub słuchu i pozbawiwszy wrażeń, skazała je na bezmyślność — rozjaśniła je inteligencya, rozbudzona miłosierną i umiejętną dłonią, niby iskra przygasła w ognisku; wchodzą tam jako ciężar społeczny, wychodzą jako dzielni i cnotliwi pracownicy na społecznej niwie, i stąd to zapewne ta rezygnacya, a nawet cicha radość, która opromienia ich czoła.

Tyle o Instytucie. A teraz chętniebym przeszedł do nowych faktów, gdybym miał równą ich obfitość, jak przed czasem bardzo jeszcze niedawnym. Ale na nieszczęście, osławione czasy ogórkowe zbliżają się. W mieście pusto i cicho. Skończyły się egzaminy szkolne, ucichły wymowne posiedzenia rozmaitych akcyonaryuszów rozmaitych spółek. Jeżeli się zaś nawet jakie

gdzie trafi, tedy przechodzi szybko a bezbarwnie, znużony bowiem akcyonaryusz daje co prędzej zarządowi swe *placet*, byle jak najprędzej uciec z dusznej sali i w domu uciąć drzemkę aż do wieczornych chłodów. Kto może, wedle wkorzenionego zwyczaju, ucieka za granicę do wód. Wywożą się za granicę suchoty, katary żołądka, osłabione nerwy, tęsknoty panieńskie, posagowe pożądliwości kawalerskie i pieniądze. Ta ostatnia choroba najuciążliwsza ze wszystkich, chroniczna, a przytem nieuleczalna. Żaden doktor, to jest przeciwnie, każdy doktor pomaga do... jej rozwoju, a lekarstwem na nią jest chyba także choroba, ale jeszcze od niej gorsza i nieporównanie przykrzejsza: suchoty kieszeni.

Po redakcyach również sucho; w jednej tylko *Bibliotece Warszawskiej* zaszła zmiana, której koniec może być dla tego pisma wcale smutny. Oto panowie: Korzon, Lubowski, Pawiński, Struve i Szyszło usunęli się od współpracownictwa stanowczo. Do tej pory wiadomo było wszem wobec i każdemu z osobna, że pismo tak byt swój, jak i zaufanie u publiczności, zawdzięczało głównie pracy tych ludzi. Co teraz będzie? Co to będzie? Co to będzie? Istnieją obawy, że będzie to, co Osiński ironicznie na powyższe pytanie, trawestując je, odpowiedział. Tymczasem krążą najrozmaitsze wieści. Obawiają się, że w przyszłości zapanuje w piśmie tem anielski zapach, podobny do tego,

jaki wydaje znana u nas «autentyczna», prosto z pompy woda, wówczas, gdy nabierze pewnego *haut goût*, cenionego szczególniej przez nosy, które za pierwszem powąchaniem umieją odróżnić to, co jest w dobrym duchu, od tego, co jest w złym. Czy jednak tak będzie w istocie, trudno dziś sądzić. Nowy skład redakcyi nie zdaje się zapowiadać kierunku ultramontańskiego, a niepodobna znów nikogo posądzać, żeby dla pary pantofli chciał zostać «Turkiem dla Abdul-Medżida». Powiem raczej, że nowy skład redakcyi dotychczas nic jeszcze nie zapowiada, a co zapowiada zobaczymy w przyszłości.

W każdym jednak razie, szkoda dawnej redakcyi. Był czas, że *Biblioteka* już, już przymykała oczy, a główny redaktor dawał jej wąchać piżmo — oni ją podnieśli, ożywili — podtrzymali upadający kredyt u publiczności, i jakoś tam szło, nienazbyt świetnie, ale i nie najgorzej. Teraz nowa redakcya będzie żyła czas jakiś artykułami nagromadzonemi przez starą, ale potem... Potem będzie przednówek i czas żniwa... we mgle przyszłości.

Ruch umysłowy nie zamiera jednak u nas latem zupełnie. Oto otrzymuję wiadomość, że urzędnicy drogi Terespolskiej zamierzają utworzyć kółko czytelnicze. Jest to myśl, która, jak się poetycznie wyraził jeden z jej promotorów, «kiełkuje» dopiero w głowach; kiedy zaś roz-

winie się ta roślina i wzrośnie, zależy to zapewne od urodzajności gruntu, na którym zostala posadzoną. To tylko jest faktem, że takie kółko, lub jakakolwiek inna figura geometryczna czytelnicza, koniecznie w okolicach Terespolskiego banhofu jest potrzebna, dowiedzieliśmy się bowiem, że Nowa Praga, wskutek nader szczególnego położenia geograficznego, całkowicie jest od ogólno-warszawskiej cywilizacyi odcięta. Wystawcie sobie, czytelnicy, że niema tam ani księgarni, ani czytelni, ani kantoru do, któregoby można pisma peryodyczne przesyłać. Pocztą oczywiście także nie można, bo za blizko; a wiadomo jest, że poczta potrzebuje pewnego rozpędu: słowem, niema sposobu. Owóż trudność o książki, trudność o gazety i o każde drukowane słowo. Mieszkańcy, z wyjątkiem urzędników, widocznie nie czują potrzeby pisania ani czytania, kiedy się dotychczas nawet o kantor w pierwszym lepszym sklepie nie postarali. Prawdopodobnie wyrobili oni sobie pewien nowopraski pogląd na świat i pewien nowo-praski rozum, który na dni powszednie wystarcza, a na dni świąteczne zgoła nie jest potrzebny, albowiem, jak wiadomo, są to dni odpoczynku. Urzędnicy jednak innego są zdania, i wskutek tego pozwolili zakiełkować myśli stworzenia czytelni, która jak raz zakiełkowała, tak już i kiełkuje sobie w najlepsze.

Gdybyż to i inni urzędnicy, a zwłaszcza urzędnicy po małych miasteczkach, chcieli pójść śladem urzędników kolei Terespolskiej i pozwolili chociaż kiełkować podobnym myślom! Gdyby zamiast po całych dniach grać w bilard, domino i szachy w miejscowej cukierni, zamiast się dzielić na arystokracyę nie wiadomo czego i demokracyę nie wiadomo jaką, zamiast pisywać wiersze do miejscowych piękności, zamiast się obmawiać wzajemnie, chcieli zakładać czytelnie! Byłaby to rzecz arcy zbawienna. Nie sztuka nosić głowę wysoko tylko dlatego, że rzeczy lżejsze w połączeniu z cięższemi zajmują położenie górujące; nie sztuka udawać arystokratę dlatego, że się ma dwieście złotych pensyi więcej, albo wyższe obcasy od innych. Nauka brata ludzi z sobą. Poważne czytanie zbliżyłoby do siebie ludzi, wytworzyłoby obyczajne i cne życie towarzyskie, podtrzymało uczucie obywatelskie, sprowadziło wymianę myśli, podniosło poziom umysłowy i moralny, nakoniec umiliło życie, często w małych miasteczkach dość jednostajne i smutne. Dlaczegóż urzędnicy terespolscy mają być lepsi od innych?

O czemże wam jeszcze powiem, czytelnicy? Byliśmy, a raczej mówiliśmy przed chwilą o Pradze, spojrzyjmy więc na Wisłę. — Źle! woda mała: wszędy wystają zaspy piasku, żegluga utrudniona — jedne tylko kąpiele od praskiego

brzegu kwitną doskonale. Kąpie się, kto żyje. Z powodu tych kąpieli stworzono złośliwy dowcip. Mówią, że najwięcej ze wszystkich kąpią się kupcy o podszarganym kredycie i kantorowicze. Czy wiecie dlaczego? Oto wprawiają się w dawanie nura. W razie potrzeby — jakby znalazł.

Gazeta Polska, 1875, Nr. 145 z dnia 6 lipca.

XXVI.

Kłopoty felietonisty. — Kwestye, o których była już mowa. — Historya o proboszczu i o pijanym chłopie. — Prasa. — System kukania. — Synteza obozów. — Jeszcze kwestya pożarna. — Mińsk i jego przyszłość. — Konin. — Straż konińska. — 98 : 2. — Złota młodzież konińska i jej charakterystyka. — Rozmowa z wieśniakiem. — Ogród zoologiczny. — Co się zrobiło? — Odezwy. — Statek na piasku. — Moje marzenia i rzeczywistość, czyli Wisła przyszłości i teraźniejszości. — Znak życia. — Trochę o panu Bartelsie. — Niejasna kwestya. — Przenosiny czy wynosiny. — Niedźwiedzie i wilki na ulicy. — Ich przyszłość. — Teatry. — Antokol i jego położenie. — Francuzi w Dolinie Szwajcarskiej. — Teatr warszawski. — Urlopy. — Pustki.

Tyle razy zdarza mi się poruszać jedne i te same kwestye, że doprawdy czasem obawiam się, żeby nie znudzić czytelników. Powiedzcie jednak sami: cóż mam czynić? Wiem, że gdy czasem zdarzy mi się wyczytać nieśmiało: Reżyseryo, prosimy o nowe sztuki! — reżyserya daje np. «Gracza», sztukę przed pięćdziesięciu

laty już przestarzałą, a teraz robiącą wrażenie wyróżowanej staruszki, która, przypomniawszy sobie nagle, że w szesnastym roku życia była przez kogoś kochaną, zabiera się z przerażającą zimno krwią do odwzajemnienia tej miłości. Wiem także, że wskutek mych jeremiad na temat wyścigów, nazwany zostałem demokratą, i to demokratą w złym duchu, co raz na zawsze zamknęło mi wstęp na arystokratyczne herbatki z deklamacyą, z sardynkami i z kanapkami.

Wiem jeszcze, że to, co pewnego razu napisałem o Sochaczewie, Płońsku i Łukowie, zjednało mi w powyższych miastach opinię arystokraty. Pewnego razu wspomniałem, że jedwabnictwo powinni popierać proboszcze wiejscy, co sprawiło, że ogłoszono mnie za ateusza, a zarazem dostarczyło jednemu z dotkniętych materyału do równie obszernej, jak budującej nauki na temat, że kacerstwo, snycerstwo i inne niegodziwości rozwielmożniają się coraz bardziej w naszem pobożnem dotąd społeczeństwie, że zmieniają ludzi na ateistów, kancelistów i pozytywistów, co wszystko razem wzięte, prowadzi przez wolnomularstwo i jedwabnictwo wprost do piekła. Innym razem, wskutek arcy niewinnego zresztą przemówienia się z Zarządem gminy ewangelickiej, nazwany zostałem ultramontaninem i stałem się powodem pewnej kwaśno-słodkiej wymiennej korespondencyi, w której

nie szczędzono mi rad, o czem mi pisać nie wypada, a zarazem dano do zrozumienia, że każdemu wolno wygładzać swoje paznogcie w sposób, jaki uzna za najstosowniejszy.

Wobec tego wszystkiego, czyż nie przyznacie sami, moi czytelnicy, wy, którzy nie jesteście ani reżyseryą, ani mieszkańcami miasta Sochaczewa, ani sportsmenami, ani nieprzyjaciółmi jedwabnictwa, ani interesowanymi w sprawach jakiejkolwiek gminy, ale tylko prostymi obywatelami miejskimi lub wiejskimi, że pozostaje mi tylko kilka kwestyi, natury *par excellence* niewinnej, do których z konieczności ustawicznie powracać muszę. Zresztą czynię to trochę umyślnie, pamiętając tę prawdę, że kropla wody, spadająca ciągle, nawet i w kamieniu otwór z czasem wybije. A przytem byłoby dobrze, gdyby nasze nawoływania i projekty urzeczywistniały się choć w dziesiątej części i doprowadzały przynajmniej do takich rezultatów, do jakich doprowadziło kazanie pewnego proboszcza, o którem zaraz wam opowiem. Raz na wsi, pewien duchowny miał kazanie: mówił przeciw pijaństwu, a mówił z energią i uczuciem, płakał i rzucał gromy, groził niedolą za życia, piekłem po śmierci — porwał za sobą słuchających prostaczków, rozczulił ich i wycisnął łzy prawdziwej skruchy. Po kazaniu i po sumie wraca do siebie do plebanii, nagle na drodze

spotyka chłopa, ale pijaniutcńkiego jak bela. Zatacza się Bartek niebożę, na prawo, na lewo, czapka ledwo że mu się na lewem uchu trzyma, a on rozkłada ręce i mówi:

— Ech, dobrodzieju, cóż to za kazanie, co za kazanie! A to ino się dusza w człeku trzęsie, a to gorzalisko, żeby ją wciórności...

— Wstydź się! — powiada z oburzeniem proboszcz: — to ja mówiłem przeciw pijaństwu, a tyś już pijany?!

— Ech, dobrodzieju, żeby nie to kazanie, albobym to ja był tak pijany! jabym, dobrodzieju, już w rowie do tej pory leżał. Niech mię paralus!...

Westchnął poczciwy proboszcz, posmutniał i odszedł do domu.

A teraz, wy, czytelnicy, którzy narzekacie na projektomanię prasy, na poruszanie wiecznie jednych i tych samych kwestyi, na artykuły wstępne, na odcinki, na łapanie wody sitem, na nawoływania, odezwy i zachęty i tym podobnie, czy sądzicie, że bez tego nasze wady, nasza niezaradność, nasze lenistwo, obojętność o dobro ogółu, słowem, to wszystko, o czem mówimy w modlitwie: «Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy!» — czy sądzicie, mówię, że te braki i niedostatki nasze i wasze, które sprawiają, że w porównaniu z innemi społeczeństwami jesteśmy ubodzy i ciemni, nie byłyby

jeszcze większe? Ileż jednak mógłbym naliczyć, czy to przedsięwzięć, czy instytucyi, bądź społecznych, bądź dobroczynnych, które, poprostu mówiąc, wykukała prasa tem kukaniem ciągłem, ustawicznem, które i wam nieraz się znudziło, i dla niej nieraz było gorzkiem. A przytem pamiętajcie, że jeżeli mówi się tu i owdzie rzeczy dla naszej miłości własnej niemiłe, to nie płynie z przesadzonego pesymizmu, z nienawiści lub pogardy, ale z nader czystego źródła: z całej pełni serca rozżalonego, że gorzej jest u nas, niż gdzieindziej. Prawda, że dzienniki często swarzą się z sobą, często walczą w imię wiedzy, czy w imię środków do różnych celów prowadzących, czy nawet — co jest nagannem — z powodu osobistych jakichś niechęci — ale można rzec jednak, że, wedle francuskiego przysłowia, pierzemy naszą bieliznę w domu. Spory istnieją, obozy istnieją, ale niemasz ani jednego — wyraźnie mówię: ani jednego dziennika, któryby w zasadzie ogólnej nie dobru społecznemu chciał służyć. Właśnie owe nawoływania, owo poruszanie jednych i tych samych kwestyi, najlepiej tego dowodzi.

Nie dziwcie się więc, że i ja podniosę w dzisiejszym odcinku sprawę, o której mówiłem już kilkakrotnie. Chodzi tu znów o straże pożarne w miastach prowincyonalnych. Czy to wskutek szkód, jakie rok rocznie czynią pożary, czy

wskutek nawoływań prasy, dość, że tu i owdzie poczynają się ludzie krzątać koło owych straży. Wprawdzie Mińsk nie zdołał jeszcze naprawić owej sławnej beczki nie — Danaid, która naprawiona z jednej strony, natychmiast psuje się z drugiej; wprawdzie nie wyciągnięto jeszcze z kałuży drągów do bosaków, które tam spoczywają od lat kilku; mówią jednak po mieście, że municypalność tamtejsza ma zamiar namyślić się nad «wysadzeniem» ze swego łona komisyi, którąby wysadziła z kolei ze swego łona komitet, mający znowu namyślić się nad sposobami naprawienia beczki i wyciągnięcia drągów z kałuży, jako też nad sposobami oparcia ich o ścianę, aby wyschły. Przytem municypalność żywi niepłonną nadzieję, że nim owe kłopotliwe wysadzania z łona się spełnią, nim beczce przestanie brakować tego, czego, mówiąc nawiasem, brakuje niejednej głowie, uważającej straże pożarne za niepotrzebne wymysły, nim nakoniec drągi zostaną wyjęte z wody — ludność miasta tak dalece się powiększy, że nie zbraknie i ochotników do przyszłej straży. W ten sposób Mińsk, jakkolwiek może się jeszcze ze trzydzieści razy spalić, ma jednak przed sobą przyszłość, wprawdzie daleką, ale różową.

Mniej rachującym na przyszłość, a więcej dbałym o teraźniejszość okazał się Konin, w którym, jak mi piszą, straż pożarna jest już urzą-

dzona, a narzędzia kupione. Do straży należy przeszło stu ochotników z miejscowej młodzieży, umundurowanych, czujnych i gotowych na każde skinienie ruszyć na ratunek tam, gdzie potrzeba. Narzędzia pożarne nie mają jeszcze stałego pomieszczenia, spoczywają więc w tymczasowej szopie, która, gdyby się wypadkiem zapaliła, narzędzia spłonęłyby niechybnie, tembardziej, że poustawiane są tam, z powodu ciasnoty, prawie jedne na drugich, zatem nie łatwo niemi poruszać. Jest jednak nadzieja, że wkrótce stanie osobny budynek, na który fundusze uzyskane będą drogą bądź koncertów, bądź przedstawień teatralnych lub fantowych loteryi.

Ale ciekawszym od tego wszystkiego jest narodowościowy stosunek ochotników do straży pożarnej zapisanych. Ktoby uwierzył, że na stu ochotników, poczuwających się do obowiązku służenia, jest dziewięćdziesięciu ośmiu Żydów i Niemców, a tylko dwóch (gdzie jest mój bicz satyryczny? podajcie mi mój bicz!), wyraźnie tylko dwóch nie-Niemców i nie-Żydów. Stosunek to piękny, nie prawda? i pięknie świadczący o patryotyzmie i odwadze nie-żydowskiej i nieniemieckiej młodzieży, zamieszkującej wspomnione miasto? Ale sądzić będziecie może, że tam prócz Niemców i Żydów niema nikogo więcej?

Przyznam się, że i ja tak sądziłem, ale myliłem się równie jak wy, czytelnicy. Widziałem,

niestety! całe dziesiątki rosłych, zdrowych i młodych dżentelmenów konińskich. Widziałem ich wygładzających paznogcie, ziewających, palących papierosy, przypatrujących się pod światło końcom piór z takiemi minami, jakby zasiadali co najmniej na konferencyach brukselskich, zachowujących się względem interesantów w ten sposób, że mimowoli popadałeś w wątpliwość, czy tabakierki zostały stworzone dla nosów, czy nosy dla tabakierek. Widziałem ich także w miejscowej cukierni, w restauracyi przy bilardach, i wierzcie mi, o zarozumiali Warszawianie! że moglibyście być ich uczniami w piramidkę. Idę także o zakład z wami, Łęczycanie, że w walce z nimi o wypitkę nie utrzymalibyście swego piskorskiego honoru. Gotówem dalej trzymać trzy przeciw jednemu, że żaden wikary na świecie nie gra tak w preferansa, jak pierwszy lepszy z tych brylantów konińskich, o których chyba tylko wyrafinowana złośliwość mogła powiedzieć, że mają głowy tak twarde, iż możnaby niemi tłuc orzechy. Również nie widzę, coby w tem miało być złego, że się trochę za mocno pomadują. Zbytnie używanie pomady przyczynia się wprawdzie do wypadania włosów, że jednak na mocy pewnego znanego przysłowia o łysinach i głowach, młodzież konińska nie potrzebuje się obawiać łysin, zarzut więc ten okazuje się równie płonnym, jak i wszystkie inne,

któremi ją, to jest tę młodzież, obarczają. Jak widzimy, zanadto ważnych obowiązków leży na tych pięknych ramionach, aby obciążać je pożarnemi drabinami; zanadto darów rozsypała natura na te oblicza, aby narażać je na osmalenie dymem i sadzą; zanadto pomady wychodzi na czupryny, aby przyprószać je popiołem. Zresztą, kto codzień wypił taką a taką ilość kufli piwa, ten w nocy potrzebuje spać, nie latać z beczkami do ognia. Nakoniec, komu Pan Bóg nie dał odwagi, skądże jej ma wziąć u licha i po co się ma na nią zdobywać, skoro ci, którzy jej mają dosyć, to jest jak np. w Koninie, Żydzi i Niemcy, potrafią go zastąpić?

Tchórzostwo jest to rzecz nerwów. Rzecz ta dawnemi laty była u nas wprawdzie bardzo mało rozpowszechniona, ale widać Konin daje inicyatywę. I to zasługa. Jest wiersz, który mówi: «Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie». Wiedziano o nim dawniej, ale nie stosowano się do przestrogi w nim zawartej. Młodzież konińska daje nam pierwsza ładny przykład, jak trzeba być oszczędnym.

Co powiedziawszy szeroko i długo, mam honor zostać jej uniżonym sługą. Wątpię, aby na skutek słów moich, liczba ochotników pożarnych zwiększyła się choć o jednego człowieka. Przypuszczam nawet, że dżentelmani konińscy nie będą się zapisywali do niej umyślnie, aby prze-

konać wszystkich, że wyżsi są ponad wszystkie drobnostki i że kiedy chcą, umieją postawić na swojem, choćby na złość... Na złość?! Komu? A prawda! «Na złość matuli niech mi uszy marzną». Znana anegdotka! Niech więc wam marzną lub opalają się, jak wolicie, szlachetni Koninianie! Będą mniejsze.

Jakie to szczęście, że Chwila Obecna nie jest kroniką ściśle warszawską, pozwala mi to bowiem robić częste wycieczki na grunt prowincyonalny. Pozawiązywałem nawet w tym celu pewne stosunki, które mi pozwolą powiedzieć wam w następujących odcinkach, co się dzieje i w innych miastach. Czuję nawet, iż wypada mi to uczynić, choćby dlatego, żeby Konin nie sądził, iż go faworyzuję na niekorzyść jego sióstr i braci.

A teraz wracam na grunt warszawski.

Właściwie jednak mówiąc, rzecz, którą chcę opowiedzieć, działa się nie na bruku warszawskim, w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale na moście. Pewnego razu wybrawszy się do kąpieli, szedłem sobie, myśląc o niebieskich migdałach, gdy nagle zatrzymał mnie głos jakiś:

— Przepraszam pana! — spytał mnie jakiś z wiejska wyglądający, a mówiący silnym litewskim akcentem jegomość — przepraszam pana, duszo! którędy tu się idzie do ogrodu zoologicznego — a?

— Dokąd? dokąd?

— Do ogrodu zoologicznego!

— Pan dobrodziej z prowincyi?

— A tak. I zdaleka: z pod Grodna.

— Niema u nas żadnego ogrodu.

— Jak to niema? A ja już tak dawno czytałem, że mają go założyć, że część jakiegoś portu już jest na to przeznaczona, że składki się zbierają. Toż myślałem, że choć z połowę już zrobili i że choć połowę obaczę.

O! pomyślałem sobie, o przybyszu z głębokiej prowincyi, jakże ty nas znasz mało, jeżeli sądzisz, że tak zaraz od słów do czynów przechodzim! Jakżeś zacofany, biedaku, jeżeli nie wiesz, że naprzód potrzebujemy z rok jaki pogadać, potem przestać gadać, potem przypomnieć sobie znowu, potem ogłosić składki, potem je zbierać, potem nie wiedzieć, co z niemi robić i jak ich użyć, potem naznaczyć kilka posiedzeń, mieć na nich kilka mów i mówek: wybrać naszych znanych, naszych powszechnie szanowanych na przewodników, potem rozejść się do domów i razem z naszymi znanymi, powszechnie szanowanymi i światłymi opuścić ręce i czekać na zmiłowanie Boże.

— A proszę-ż pana, — mówił dalej wieśniak — boć to przecie był jakiś komitet opiekuńczy, co miał się tem zajmować — a? Cóż on dotychczas zrobił — a?

— Niech nie wie lewica, co robi prawica.

— Co pan mówi?

— Mówię, że prawdziwa zasługa jest skromna i nie lubi się chwalić.

— No, ażeby ją fakta pochwalily. Na seryo, powiedz pan co zrobił?

— A? na seryo to nic nie zrobił.

— Ależ tu już był jakiś początek, tu były już zwierzęta.

— O to co innego. To był i jest zwierzyniec pana Bartelsa. Zwierzyniec ten ma być uważany jako zarodek przyszłego ogrodu, ale kiedy to wszystko nastąpi, Bóg jeden wie.

Rozstaliśmy się, i każdy poszedł w swoją drogę. W powrocie jednak począłem nad tą kwestyą rozmyślać. Rzeczywiście był uformowany komitet, miał się zaopiekować sprawami zwierzyńca, rzeczywiście posypały się składki: zebrały się jakie takie, lubo niewielkie jeszcze fundusze, i... cicho, jak makiem siał. Nie wie nikt i nie słyszał nikt o niczem. Jakoś jeszcze w siedemdziesiątym czwartym komitet wydał drukowaną odezwę, w której spodziewa się, że etc... że szanowna publiczność poprze etc... słowem, odezwę zachęcającą, i na tem się skończyło. Trzebaby raz dać jakiś znak życia, trzebaby coś o sobie i o ogrodzie, i o pieniądzach publiczności powiedzieć. Niech wie, czego się trzymać: czy będzie ogród, czy nie będzie? czy

się jeszcze czeka? czy też sprawa odłożona *ad calendas graecas?* Odezwy są to zapewne rzeczy bardzo piękne, ale jeśli prowadzą do czegoś więcej, niż do zadrukowywania welinowego papieru. Dziwna rzecz, że komitet nie daje znaku życia!

Tak rozmyślałem, wracając o zmroku już z Pragi do domu, a rozmyślań tych nie zdołał przerwać nawet widok statku parowego, który osiadł sobie w najlepsze na piasku i ani na prawo, ani na lewo ruszyć się nie mógł. Kobiety i mężczyźni, stojący na pokładzie, spoglądali z utęsknieniem na brzeg warszawski; narzekali, skarżyli się, niektórzy klęli, komin sapał i oddychał kłębami dymu, jakby ze wściekłością, para gwizdała przeraźliwie, a koła poruszały się, tłukąc o piasek. Stanąłem i patrzałem. Upłynęła godzina, ściemniło się. Saska Kępa osnuła się mgłą; na niebie błysła gwiazda jedna, druga; światła po brzegach, odbijając się w wodzie, zaczęły błyszczeć długiemi kolumnami; na bulwarku od strony Pragi jakiś rybak czy przewoźnik zanucił wcale pięknym głosem:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja doliną!

Statek ciągle sapał i zgrzytał, z komina poczęły się sypać snopy złotych iskier. Ale z miejsca ani rusz! Mała woda! mała woda — wszędzie zaspy piaszczyste, płytko, nieledwie możnaby

przejść w bród całą Wisłę. Tam coś czerni się zdaleka: to tama Daniszewskiego. Nie rozpłynęła się, stoi sobie tak, jak ją postawiono wbrew mądrości niektórych naszych inżynierów, ale jedna taka tama to nie dosyć. Zapomniałem o ogrodzie zoologicznym, a zacząłem marzyć o uregulowaniu brzegów Wisły. Tak: marzyć — podobne życzenia bowiem są dotąd, a może i długo będą marzeniami tylko, i to zuchwałemi marzeniami. Myślą przeniosłem się w daleką przyszłość. Widziałem potężną rzekę, toczącą głębokie, żółtawe fale, zwarte w kamiennych wysokich brzegach, na niej ogromne parowce, przybyłe aż het od Gdańska, galary ze zbożem i owocem, komiegi, berlinki, krypy, wielkie łodzie żaglowe: jedne przywoziły produkt zagraniczny, inne za granicę wiozły krajowy; wszędy ruch był ogromny, mnóstwo ludzi, statków; znać, że to potężna arterya bogactw i handlu ta rzeka... alboż i ten gród na lewym brzegu, co to za wielkość, co za potęga!...

Nagle ocknąłem się. Statek parowy cudem jakimś właśnie wydostał się z piaszczystego podścieliska. Przede mną była rzeka nie zwarta w kamień na brzegi, ale rozlana na wszystkie strony, nawpół wyschła: nie było na niej ani parowców, ani galarów, ani łodzi, ani handlu; na lewym brzegu był wprawdzie gród, ale ciemny, źle wybrukowany, źle zabudowany —

na dobitkę wiatr powiał od miasta i uderzył o mój nos zapachem, który wszelkie marzenie na temat potężnego i pachnącego grodu uczynił niemożliwem.

Przestałem więc marzyć stanowczo, i przez parę następnych dni zająłem się krzątaniną około materyału do niniejszego odcinka. Nie spodziewałem się, że znowu przyjdzie mi wrócić do zoologicznego ogrodu. Oto czy uwierzycie? Komitet dał znak życia. Zdumiałem się.

Nie tyle zdziwiło mnie to, że komitet dał znak życia, boć skoro raz istniał, trudnoż mu było chodzić na palcach, dlatego, żeby nie narobić szmeru; ale wieści, które mnie doszły, były tak dziwaczne, że początkowo nie chciałem w nie wierzyć. Przekonałem się jednak, że są prawdziwe.

Oto komitet nie chce przyjąć zwierząt pana Bartelsa, nie chce uważać ich za zarodek i za dobry początek. Sam pan Bartels przestaje należeć do komitetu: słowem, jakieś poruszenia wewnętrzne, jakieś *bellum civile*, jeszcze niezupełnie jasne, ale złowróżbne.

Na dziś dosyć o sprawach zwierzyńca. Powrócimy do nich prawdopodobnie w następnym odcinku, wówczas gdy się wyjaśnią — obecnie zaś musimy przejść do dalszego ciągu kroniki i wspomnieć coś o teatrach.

Mnożą się jak grzyby po deszczu. Obecnie

jest ich już ośm, licząc w to niemiecki i francuski. W ostatnich czasach otworzono nowy na Pradze, w ogrodzie zwanym Antokol. Nie wyobrażajcie sobie wcale czytelnicy, żeby to była jaka szopa bez dachu, bez podłogi i o sosnowych ławach — wcale nie! Teatrzyk urządzony schludnie, nad głowami widzów rozciąga się dach płócienny, siedzenia wygodne, kryte płótnem, scenka stosunkowo obszerna, wszystko zaś razem przypomina, lubo w skromniejszym zakresie, Eldorado. Co jednak stanowi wdzięk prawdziwy tego teatru, to ogród. Ogród to niewielki, ale prawdziwy. Drzewa wyrosłe i cieniste. Powietrze świeże, zdrowsze, niż gdziekolwiek w Warszawie. Ogród i teatrzyk leżą nad samą prawie Wisłą, tuż za wałem. W czasie chwil ciszy na scenie, gdy jednocześnie woda jest wzburzona, słychać szum fali. Od rzeki ustawicznie dochodzi chłodny powiew wiatru: słowem, na ogół wziąwszy, nie brak w tem wszystkiem pewnych dogodności, a nawet pewnego poetycznego wdzięku, który sprawi zapewne, że teatrzyk ten będzie licznie odwiedzany tak przez Prażan, jak i przez Warszawian. Pierwsze przedstawienie odbyło się w niedzielę. Z tego przedstawienia nie można jeszcze sądzić trupy, wogóle jednak poszło wcale nieźle.

Nakoniec francuska trupa przeniosła się do Doliny Szwajcarskiej, i daje dzisiaj pierwsze

przedstawienie. Jeżeli pogoda dopisze, jeżeli wieczory będą jasne, a ciche, a ciepłe, Francuziska, którzy zresztą grają wybornie, zrobią majątek — ale jeżeli niebo będzie tak płakało wieczorami, jak to już od kilku dni czyni, będzie źle.

Qui vivra... — mówi sobie p. Keller.

W teatrze stałym pustki. Wszystko, co żyje, wyjeżdża, wszystko na urlopach, które rozdawano niezwykle szczodrze. Z pomiędzy naczelnych sił niema prawie nikogo. Reżyserya prawie nie wystawia nowych sztuk. Do teatru mało kto chodzi, mało kto się nim zajmuje.

Pusto! cicho!... nudno!

Gazeta Polska, 1875, Nr. 151 z dnia 13 lipca.

XXVII.

Sesye i sesyjki. — Narady o zwierzętach. — Na śmierć! Skóra na niedźwiedziu. — Projekty. — Projekty na urlopie. Muzeum przemysłowo-rolnicze. — Co myślą organizatorowie. — Historya o Radziwille i o pewnym Żydku karczmarzu. — My i projektodawcy. Komitety sanitarne. — Zjazdy sanitarne. — Znowu projekty. — Ornaty i francuszczyzna. — Czytelnia dla kobiet. — Paul de Kock i nowy przekład jego dzieł. — Offenbach. — Powódź ofenbachiad. — Teatr. — Piąty akt «Fausta». — Panna Deryng. — Obietnice i zawody. — Zdumienie. — Scena lwowska i dyrekcya teatrów warszawskich.

Sesye i sesyjki — to nasza słabość. Dowodem tego choćby komitet opiekuńczy, którego zadaniem było rozwinięcie zwierzyńca pana Bartelsa na ogród zoologiczny warszawski. Wprawdzie o ogrodzie dotąd ani słychu; wprawdzie zwierzęta p. Bartelsa wyrzucił komornik na ulicę; wprawdzie niedźwiedzie i wilki zabrali uprzątacze uliczni; wprawdzie podobno już je zabili; wprawdzie część czworonogów i ptaków rozkradziono; wprawdzie pan Bartels wydał

ostatnie fundusze na utrzymanie reszty; wprawdzie, gdy nikt nie przychodził mu w pomoc, zmarnowało się, bo i musiało zmarnować się wszystko; wprawdzie, pomimo żem w zeszłym odcinku zaklinał w rozczulający sposób komitet, aby odezwał się choć słowem, komitet nie odezwał się ani słowem; wprawdzie nikt nic nie wie, jak sprawa ogrodu dziś stoi — ale za to komitet swego czasu miewał sesye.

Sesya i sesya przedewszystkiem. Dowiedziałem się nawet drogą uboczną, że na tych sesyach nietylko narzekano na zimno w czasie zimy; nietylko wachlowano się chustkami w czasie upałów; nietylko bito rękoma muchy siadające na głowach obradujących; nietylko uskarżano się na odciski; nietylko obdarzano się zaufaniem całego ogółu *à discretion;* nietylko, nakoniec, zużyto wielką ilość przymiotników takich, jak: «szanowny», «wielce poważany», «głęboki» (w znaczeniu umysłowem), ale nawet — o dziwo! mówiono o zwierzętach.

Mówiono! Ten, który mi to opowiadał, zaklinał się na mamę, że mówiono. Były to już czasy, kiedy zwierzyńcowi p. Bartelsa trzeba było koniecznie przyjść w pomoc; członkowie obradowali więc, w jaki sposób przynieść pożądaną ulgę. Uradzono nakoniec, że najprostszym sposobem ulżenia panu Bartelsowi, jest... zgadnijcie też, mili czytelnicy, co? — oto zabicie

zwierząt. Żeby zaś pan Bartels zbyt na tem nie stracił, komitet postanowił wspaniałomyślnie zapłacić za skóry zabitych zwierząt, za skóry, które jeszcze wówczas nie były zdarte. Było to więc prawdziwe kupno skóry na niedźwiedziu. Jak na komitet, mający za zadanie rozwinięcie i założenie zwierzyńca, to nieźle. Nie prawda? Trudno bo i nawet temu uwierzyć, a jednak tak podobno było. Nie przesadzam nic a nic. Co do mnie, ciekawym tylko, coby komitet robił z temi skórami, gdyby pan Bartels przyjął tę wspaniałomyślną propozycyę. Zapewne trzebaby było złożyć jeszcze parę sesyi dla naradzenia się w tym tak ważnym przedmiocie. Może wypadałoby skórki sprzedać choćby naszym «handlom» warszawskim. Powiększyłby się przez to ogólny fundusz, na założenie przeznaczony.

Jak na teraz tedy, sprawa tak stoi, że jest trochę pieniędzy, które przez dobrowolne ofiary ciągle się jeszcze powiększają, a z którymi nikt nie wie, co ma robić i kto się ma zająć; dalej, że zwierzyniec pana Bartelsa już zmarniał; dalej, że mimo iż człowiek ten dał inicyatywę i że pozwolenie władzy istnieje na jego imię, usunięto go już dawno od wszystkiego; nakoniec, że ogród zoologiczny jest dotychczas ideą platońską w niebie, a projekter z nieograniczonym urlopem na ziemi.

Już nasz taki zwyczaj, że jak tylko powstaje jaki projekt, natychmiast dajemy mu nieograniczony urlop. Niech tam jedzie sobie z Panem Bogiem, byle nam nie zawadzał. Jako przykład weźmy np. projekt muzeum przemysłowo-rolniczego. Kiedy ten projekt powstał, już nawet nie pamiętam; wiem tylko, że miał dosyć czasu, by się «ucukrować jak figa, uleżeć jak tytuń», lub jak ulęgałka. Piszą o nim, mówią o nim. Oto *Wiek* np. donosi, że organizatorowie jego myślą przedewszystkiem o założeniu pracowni chemicznej; dalej, że myślą założyć zbiory technologiczno-chemiczne; dalej, urządzić systematyczne wykłady etc. etc.; słowem, że trudniejby było powiedzieć, o czem to ci organizatorowie nie myślą.

Pocieszająca wiadomość, ani słowa, ale co do mnie, to ja *simplex servus Dei*, wolałbym, żeby mniej myśleli, a więcej robili; żeby nareszcie zrobili choć cokolwiek. Obecnie, te wyliczenia: pracowni chemicznej, zbioru chemicznego, zbioru technologicznego, odczytów, przypominają mi powiastkę o Radziwille Panie Kochanku, który, przyjechawszy raz głodny jak wilk do jakiejś karczmy żydowskiej, krzyknął, żeby mu co prędzej jeść podawali.

— Możeby Jaśnie Książę kurę pozwoli? — spytał Żyd.

— Dobrze żydzie, dawaj kurę.

— Cóż kiedy niema!

. . . . . .

— A możeby Jaśnie pan jajecznicy?

— Dawaj jajecznicę!

— Cóż kiedy niema! A możeby Jaśnie Książę tak coś zimnego... półgęsek.

— Dawaj, trutniu!...

— Cóż kiedy niema.

Te żarty źle się podobno nawet skończyły dla dowcipnego syna Izraela. Ale powiedzcież teraz, czytelnicy, czy z nami nie tak samo postępują, jak z Radziwiłłem? Raz w raz przychodzi ktoś i pyta:

— Możebyście chcieli mieć muzeum?

— Dobrze!

— Cóż kiedy nie macie! A może ogród zoologiczny?

— I to dobrze.

— Cóż kiedy nie macie! A może komitet zdrowia?

— Owszem.

Co do komitetów zdrowia, mamy już zatwierdzoną i mianowaną komisyę sanitarną, która oby sprawiła, żeby nasza Warszawa przestała zatruwać Wisłę, nasza Wisła Warszawę! oby pomyślała o ściekach, kanałach, zdrowszych mieszkaniach dla ubogich, zdrowych pokarmach na targach!

Przed kilku dniami doktor Strzyżewski nade-

słał do naszej redakcyi list, w którym porusza nader ważną kwestyę urządzenia peryodycznych zjazdów sanitarnych. Wiadomo czytelnikom, że w większych miastach naszych istnieją tak zwane komitety zdrowia, których zadaniem jest, jak sama nazwa wskazuje, czuwać nad sanitarnymi warunkami tych miejscowości, w których mają siedlisko. Ale, żeby działalność komitetów przynosiła istotnie owoce, potrzeba, żeby ludność zapoznawała się z pewnemi wymaganiami hygienicznemi nowych czasów. Otóż o tych wymaganiach ogół nasz zarówno wiejski, jak i miejski, nie ma najmniejszego pojęcia. Dość spojrzeć, jak żyją nasi chłopi po wsiach, jak leczą wszelkie choroby wódką, jak dzieciaki wiejskie przepalają głowy na słońcu, jak najadłszy się dzikich gruszek, idą się kąpać, jak w chatach brak światła, powietrza i t. d. Dość spojrzeć, jak żyje proletaryat żydowski w większych i mniejszych miastach, w izbach zaduszonych, po kilkanaście osób w jednym alkierzu, w brudzie i niechlujstwie. Znam te obrazy, i nie trzeba się zbyt wysilać, żeby je czytelnikowi przypomnieć. Zadaniem tedy komitetu jest obznajmiać ludność z wymaganiami hygieny, a zarazem wymagania to objawiać. Komitetom może przychodzić czynnie w pomoc prasa, i prasa też pomaga, jak może, ale wpływ jej nie jest dostateczny, ta bowiem większość,

która najmniej do wymagań hygieny się stosuje, nie trzyma i nie czytuje zarazem gazet. Potrzeba tedy wszelkimi sposobami wytwarzać masę nowych nawyknień, a łamać utarte. Otóż dr. Strzyżewski jest zdania, że obok wytrwałości, tylko połączone i zgodne siły mogą przynajmniej po niejakim czasie cel osiągnąć. Z tych powodów dr. Strzyżewski poleca szczególniej urządzać peryodyczne zjazdy sanitarne, sądząc bardzo słusznie, że nietylko jednostajność postępowania w wielu wypadkach, ale nawet prędsza sankcya tej lub owej uchwały mogłaby być skutecznie na takich zjazdach przeprowadzona.

Mojem zdaniem, takie zapatrywanie się na znaczenie zjazdów jest słuszne i usprawiedliwione. Miałyby zjazdy te jeszcze i tę dobrą stronę, o której również projektodawca nie przepomniał, że rozwijałyby większą energię w działaniu komitetów, byłyby naturalną ich kontrolą, i nakoniec, że uchwały, stanowione na zjazdach, nabierałyby większego moralnego znaczenia.

Co do mnie, zgadzam się zupełnie, a sądzę, że i czytelnicy nie będą przeciwnego zdania w tej mierze.

Zarzucić można temu projektowi chyba to tylko, że jest... projektem.

Ale czyż damy mu, jak i innym, urlop? Niestety! znając nasze usposobienia w tym wzglę-

dzie, nie śmiem się nawet łudzić, aby miało być inaczej.

Czuję, że znowu ściągam na siebie zarzut pesymisty, ale mniejsza już o to. Gorsze jest to, że przed chwilą narzekałem na projekty, a teraz sam o nich piszę. Cóż robić? cóż robić? Gdybym chciał mówić nie o zamiarach, ale o czynach, przyszłoby mi chyba pisać o ornatach, wyhaftowanych rękoma naszych arystokratycznych dam dla rozmaitych wielebnych i przewielebnych, odznaczających się paryskim akcentem i paryskimi ruchami i umiejących ze szczególniejszą pokorą chrześcijańską zbierać kożuszki z kawy na poobiednich przyjęciach.

Musiałbym chyba wymówić się z tem, co usłyszałem w sekrecie, że pewne arcypobożne bractwo damskie podało do swego duchownego przewodnika adres, aby na posiedzeniach tygodniowych podawał swej wiernej trzódce obrok duchowy po francusku. Czegóż bo to zresztą dowodzi? Można umieć i po francusku i po polsku. Że nasze damy umieją, o tem nigdy nie wątpiłem, a teraz wątpię jeszcze mniej, niż kiedykolwiek, ponieważ sam byłem świadkiem, jak pewna arystokratyczna dama, po stosunkowo krótkim namyśle, przypomniała sobie jak najszczęśliwiej, że pies po polsku nazywa się: pies! Czegóż tu chcecie więcej? I posądzają jeszcze takie damy o kosmopolityzm!

Ale wracam do moich projektów — nie dlatego nazywam je moimi, żebym ja je sam uczynił, ale że mam zamiar o nich pisać. Co do mnie, stworzyłem tylko jeden projekt w życiu, ale był tak niedorzeczny, że oczywiście natychmiast upadł. Oto, wyobraźcie sobie, zaprojektowałem zakładanie ochron wiejskich. Wprawdzie miałoby to ogromne znaczenie, podniosłoby moralność ludu, oświatę ludu, zastąpiłoby nawet szkółki tam, gdzie ich niema, ale... Jak się zdaje, nietylko że posłano go na urlop, ale dano mu najformalniejszą dymisyę.

Wracam więc do tych, co do których jest mniejsza lub większa nadzieja, że się urzeczywistnią; oto jeden z przystojniejszych literatów zakłada czytelnię dla kobiet. Projekt ten prawie napewno przyjdzie do skutku. Książki będą przeważnie polskie, francuskich powieści bardzo mało — prawdopodobnie nawet nic; za to wiele dzieł poważnych, naukowych i popularnych, wiele spokoju i ustronnej ciszy, wiele ułatwień do pracy, a już od was, piękne czytelniczki zależy, czy wiele także i pracy.

Wspomniałem o powieściach francuskich, niechże więc wolno mi będzie powiedzieć choć parę słów o starym jej przedstawicielu, o Pawle de Kock, który w popularnym języku naszym zwykle Pawłem z Kocka się nazywa. Wkrótce wyjdzie w Warszawie nowa edycya, a raczej

nowy przekład dzieł tego pisarza. Zgadzamy się w zupełności z wydawcą, że dzieła jego mają niepospolitą wartość literacką, zgadzam się nawet, że ten stary Paweł z Kocka, pod lekką warstwą zepsucia, jest pisarzem w gruncie rzeczy moralnym, poczciwym, pełnym humoru i werwy mieszczaninem, kochającym prawdę i cnotę. Zgadzam się, że na ludzi myślących, wykształconych i dojrzałych, książki jego złego wpływu nie wywrą, ale czynię tylko jedną uwagę. Ludzie dojrzali, myślący i wykształceni już te jego dzieła znają. (Powiem w nawiasie, że miałbym ich za safandułów, gdyby ich nie znali). Ci więc znają. Któż tedy nie zna?

Młode pokolenie.

Kto będzie czytał?

Młode pokolenie. Uczniowie gimnazyum naprzód, a potem kontrabanda przekradnie się na jedną i drugą pensyę żeńską — i oto gotowi czytelnicy. A to rzecz zmienia. W ręku takich czytelników pan Paweł jest znów arcy niemoralnym i szkodliwym pisarzem. Jest sobie w swoim czasie tem, czem dziś w muzyce jest Offenbach. Dobrze się przypatrzywszy, znajdziesz tam i pewną moralność, i satyrę, i trochę poezyi — ale na pierwszy rzut oka widać przedewszystkiem podkasane spódniczki.

Ach, ten Offenbach! Spytacie: co grają w Eldorado?— Offenbacha. W Alhambrze? – Offenbacha,

W Dolinie? — Offenbacha; słowem, wszędzie i na wszystkie strony Offenbacha. Smakuje, bo trafia w owo uczucie sceptycyzmu, nurtujące dziś wszystkie głowy i serca, nawet te, które same o tem nie wiedzą. Smakuje — a jednak trochę go za dużo — i z każdą chwilą może się rozpocząć reakcya. Jeden tylko warszawski teatr najmniej nim nas częstuje. Co prawda, to ten warszawski teatr niczem nas nie trakuje, bo nikogo niema. Kto żyw, na urlopie. Artyści herboryzują. A jednak, mimo tych pustek, wczoraj, t. j. w poniedziałek, teatr ten z powodu wystąpienia panny Deryng był napełniony. Specyalny recenzent oceni zapewne obszerniej grę młodej artystki, ja zaś maluję tylko wrażenie publiczności. Dzienniki, lubo bez hałasu, zapowiedziały jednak, że panna Deryng należy do artystek, cieszących się już niemałem na lwowskiej scenie uznaniem; spodziewaliśmy się więc ujrzeć artystkę dobrą, jeżeli nie znakomitą, to przynajmniej wyrobioną. Tymczasem cóż ujrzeliśmy w istocie? Oto młode dziewczę, z potężną skalą głosu dźwięcznego jak srebro — grające z werwą i zapałem, przechodzącym niemal w egzaltacyę, poetyczne w swoich uniesieniach i posiadające wszelkie dane na genialną w przyszłości artystkę. Publiczność nie spodziewała się poprostu tyle, dlatego na twarzach wszystkich czytałeś pewne zdumienie. Cały teatr

zdziwił się tem zdziwieniem prawdziwie artystycznem, połączonem z odcieniem zachwytu, a przechodzącem z szybkością błyskawicy w burzę oklasków, która, niby dobra wróżba, długo huczała nad młodocianą głową dziewicy artystki. Co do nas, podzielając uczucie wczorajszych widzów w zupełności, nie mogliśmy oprzeć się myśli, która mimowoli przyszła nam do głowy: jakże wyborną szkołą jest ta scena lwowska wraz z krakowską, skoro zdołały wyrobić takie artystki, jak p. Modrzejewska, p. Popiel i p. Deryng!

Z drugiej strony, dyrekcya teatrów warszawskich, która takie artystki sprowadza i zatrzymuje, dowodzi prawdziwej dbałości o dobro sceny i zasługuje na zupełne uznanie.

Gazeta Polska, 1875, Nr 158 z dnia 21 lipca.

XXVIII.

Zgliszcza i pustka.

Rankiem we czwartek doszła nas przerażająca wiadomość o pożarze w Pułtusku; nazajutrz, t. j. w piątek, wyruszyłem z Warszawy, ażeby naocznie przekonać się o klęsce i dać wam najdokładniejszy jej opis.

W Serocku, gdzie zatrzymałem się dla przeprzęgu koni, opowiadano mi najsprzeczniejsze wieści. Według jednych, spaliło się wszystko do szczętu; według innych, klęska nie doszła do tak kolosalnych rozmiarów. Umysły były wzburzone, rozgorączkowane i przejęte śmiertelną obawą. Zeszłej nocy ogień pokazał się i w Serocku. Nie wiedziano dokładnie, czy z podpalenia, czy z nieostrożności, powszechnem jednak było przekonanie, że pożar się powtórzy. Miastu brak straży ogniowej, brak sikawek, brak narzędzi pożarnych, a wreszcie brak i otuchy. Kiedy się mówi o obronie, kiwają rękoma; —

Nic nie pomoże, musimy się spalić. Oto zdanie, które usłyszysz z każdych ust. Rozpacz, ale zarazem i apatya doszły tu do najwyższego stopnia. Blizkie sąsiedztwo Pułtuska wzmaga tylko przerażenie i straszną pewność nieuchronnego losu.

O godzinie mniej więcej siódmej wieczorem opuściłem Serock. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Pułtuska, ruch na szosie zwiększał się coraz bardziej. Od czasu do czasu przemknęła szybko ekstrapoczta, głosząca trąbką przejazd; tu i owdzie trafiałeś na bryki i wozy, wiozące rzeczy pogorzelców: pościel, łóżka, sprzęty domowe i tym podobnie. Za wozami szły zwolna gromady włościan, wracających od ratunku. Twarze ich były poczernione dymem. Jedni mieli wiadra, inni siekiery, topory, bosaki lub długie tyczki. Chcąc z nimi pomówić, kazałem pocztylionowi się zatrzymać.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków.

— A co tam w Pułtusku?

— Oho, panie! Niema już Pułtuska, a co jest, to się dopala — odpowiedziano mi gromadnie.

Ze ściśniętem sercem kazałem jechać dalej. Słońce zachodziło zwolna za lasy i bory. Pogodny wieczór letni palił się łagodnem, purpurowem światłem na szczytach drzew i na dachach chat przydrożnych. Powietrze dziwnie przezro-

czyste pozwalało rozróżniać dokładnie nawet bardzo oddalone przedmioty. Ptactwo zabierało się do snu i z cichym świegotem obsiadało gałęzie drzew, rosnących przy szosie. Spokój i cisza rozlane były wszędzie, z wyjątkiem na twarzach ludzi.

Nagle oczy moje uderzyło odległe bardzo i obszerne płaskowzgórze, wznoszące się nakształt tarasu nad równiną. Wśród atmosfery, przesyconej różowem światłem zorzy, płaskowzgórze owo było pokryte jakby białawą, nieprzezroczystą mgłą, przedsłaniającą znajdujące się na jego szczycie przedmioty.

— Co to widać? — spytałem pocztyliona.

— To Pułtusk, panie! — odpowiedział.

— A ta mgła, czy też chmura, tam nad nim?

— To nie mgła, to dym z pożaru.

Istotnie był to dym, który prawdopodobnie do dziś dnia unosi się jeszcze nad miastem. W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, na tle tego dymu przedmioty poczęły występować coraz wyraźniej. Widać było zręby murów, dachy, wieże i krzyżyki kościelne. Na pozór nic nie zapowiadało wczorajszej klęski. Zdawało się, że cichy i spokojny gród, otuliwszy się w mgłę wilgotną, układa się do snu; zdawało się, że lada chwila sygnaturki zadzwonią jeszcze na Anioł Pański, ludziska pomodlą się po znoju dzien-

nym, potem błyśnie jedno okienko, drugie, dziesiąte, gwar ustanie, a potem nastąpi cisza, przerywana tylko szczekaniem psów lub echowem nawoływaniem: «Czuwaaaj!» stróżów nocnych.

Tymczasem bryczka pocztowa zatętniła po bruku; wjechaliśmy między pierwsze, ale odosobnione jak placówka domy miasta. Niestety! mimo pięknych pozorów, ślady klęski były już tu widoczne. Droga biegła tuż koło łąki. Na łące tej błyskały wszędzie chwiane lekkim oddechem wiatru światełka. To Żydzi szabasowali pod gołem niebem. Dziwny, a powiem: rozrzewniający widok czyniło to uroczyste obozowisko. Na stołach lub wprost na ziemi migotały mosiężne świeczniki, których blask omdlewał w walce z ostatnimi promieniami zorzy. Stoły puste, bez zwykłej uczty szabaśnej; naokoło tylko widać rozmodlone twarze i pełne łez, wzniesione w niebo oczy. Nie słychać zwykłego gwaru i wrzasku modlitw. Cisza! Widocznie przerażenie pozamykało tym ludziom usta, i modlą się tylko milczeniem rozpaczy, i łzami, i głodem jutrzejszym, i dolą przyszłą, twardą jak kamień i ciężką jak kamień.

— O Adonaj! zmiłuj się nad nami.

Bryczka zatrzymała się przed miejscową pocztą. Zasięgnąwszy nieco wiadomości, natychmiast wraz z towarzyszem moim pobiegliśmy do miasta. Pióro wypada mi z ręki, gdy pomyślę,

jaki widok uderzył nasze oczy. Na niebie był już mrok: resztki rozpierzchłego światła walczyły z cieniami nocy, a wśród tych szarych tonów powietrza, jak okiem zasięgnął, patrzała na nas pustka. Zręby murów, stosy gruzu, zwalone jedne na drugie, gromady okopconych cegieł, poczerniałe, sterczące sylwetki kominów, rysowały się w dziwnie fantastycznych kształtach na tle mroku. Zdaleka, rzekłbyś: kamienie i skały, rzucone chaotycznie ręką natury. Nigdzie ani śladu ulic. Wszędzie zwaliska, jak okiem dojrzysz, tylko szeregi kominów, zdające się iść w dal bez końca. Rozpalona powierzchnia gruntu parzyła nasze nogi, gorąco i woń spalenizny tamowały oddech w piersiach. Wszędzie duszno a pusto, ani jednej żywej istoty, wszyscy pouciekali stąd, jakby z miejsc przez Boga przeklętych. Słowa brzmią tu dziwnie jakoś, echowo i straszno. Czasem tylko wśród gruzów zabrzmi przygłuszony łoskot. To przepalona cegła upada gdzieś do piwnic. Zresztą cisza, ta cisza zgrozy i okropności, przejmująca stokroć większem przerażeniem, niż huk dział i piorunów.

Błądziliśmy w ten sposób między rumowiskiem i szkieletami kominów przeszło pół godziny. Błądziliśmy milcząc, gdy nagle przytłumiony szept uderzył nasze uszy. Na skręcie dawnej zapewne ulicy spostrzegliśmy dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę.

Oboje byli młodzi. Kobieta wątła, blada, opierała się silnie na ramieniu mężczyzny, który w ręku trzymał mały koszyczek włóczkowy, naszywany szklanemi paciorkami.

Zbliżyliśmy się do nich.

— Państwo tutejsi?

— Tak, panie. Mieszkaliśmy tu od roku.

— I spaliliście się także?

Kobieta poczęła szeroko opowiadać swoją i męża historyę. Pobrali się od roku. Mieli w Pułtusku dom, żyli szczęśliwie, aż naraz:

— Oto co nam zostało z całego gospodarstwa — kończyła ze smutnym uśmiechem, wskazując na niesiony przez męża koszyczek.

— Zdajecie się państwo czegoś szukać?

— Chcieliśmy choć jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym przeżyliśmy rok razem, ale nie możemy znaleźć nawet ulicy. Chcieliśmy...

Urwała nagle, bo łzy tłumiły jej słowa w piersiach.

Mąż nie odezwał się ani razu w czasie całego opowiadania. Na twarzy jego malowała się niema rozpacz.

Nie mieli dachu nad głową; nie mieli ani grosza majątku; byli głodni; nie wiedzieli, co począć, gdzie się podziać.

Szliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Ściemniło się już zupełnie; nagle krwawa łuna błysnęła w końcu miasta.

— Co to pali się jeszcze? — spytałem.

— To szpital.

Pobiegliśmy tam natychmiast. Duży piętrowy gmach palił się istotnie okropnie. Na podwórzu gromadka ludzi. Jedni stali nieruchomie, a łuna pożaru odbijała się w bezmyślnych ich źrenicach. Inni pracowali koło sikawek, biegli po wodę, przeklinali, wrzeszczeli. Sikawki pracowały słabo. Nikt nie dowodził. Woda, wlewana w małych ilościach, podniecała tlenem pożar, zamiast go gasić. Czerwony płomień huczał ponuro wewnątrz gmachu, lub wychodził przez drzwi i okna na zewnątrz, liżąc potwornie długimi językami białe ściany, jakby się chciał w nich rozsmakować przed pożarciem.

Na podwórzu między gromadami ludzi stało kilka zakonnic. Łuna pożaru rzucała jaskrawe blaski na białe ich kapelusze i blade, ale spokojne twarze. Ten spokój i rezygnacya wśród ogólnego ruchu i zamętu, wśród wrzasków i przekleństw, miały w sobie coś prawie świętego.

— Co się stało z chorymi? — spytałem jednej z nich.

— Wyratowałyśmy wszystkich chorych — mówiła słodkim głosem siostra. — Leżą w pralni, która nie zapaliła się jeszcze. Niech Panu Bogu będzie chwała! Trzech jednak umarło nam z przerażenia — dodała, zwiesiwszy smutnie głowę.

— A panie gdzie mieszkacie?

Podniosła oczy ku niebu.

— Pod gwiazdami — wyszeptała z uśmiechem.

— Jak to? i sypiacie pod gołem niebem?

— My nie spałyśmy wcale od środy. Widzi pan, trzeba chorych pilnować i czuwać nad pralnią.

— Musicie upadać ze znużenia?

— Bóg nam dodaje sił.

O, tak, poznaję was! zawszeście jednakie, o szare anioły miłosierdzia. Niechaj was Bóg błogosławi!

Szpital tymczasem gorzał, wypalał się zwolna. Mówiono mi potem, że gdyby jaki taki ratunek, nie byłby się zapalił wcale; ale ratunku nie było żadnego, wojsku na początku pożaru kazano wyjść za miasto. Miejscowi mieszkańcy, przerażeni, nawet nie próbowali tłumić ognia. Każdy ratował rzeczy, jakie mógł wyratować, i życie. Resztę zdawał na wolę Boga i ognia. Niedaleko szpitala paliło się również gwałtownie miejscowe progimnazyum. Ognia nie było prawie znać na zewnątrz, okna tylko gorzały jaskrawem światłem. Zdaleka patrząc, rzekłbyś, że to jakaś uroczystość rozwidnia tak okna. Ratowała je garstka żołnierzy, którymi dowodził jakiś starszy. Rąbano kraty w oknach, które długo nie chciały ustąpić. Dach już się był zapadł

paliły się tylko ławki, okna, podłogi i sufity. Wkrótce w jednej z komnat sufit zapadł się z trzaskiem. Ratunek był i tu próżną już tylko robotą. Nie rozpoczęto go dość wcześnie. W chwili, o której mówię, ściśle biorąc, dopalało się już tylko.

Od progimnazyum udaliśmy się do kościoła po-Benedyktyńskiego. Był to najpotężniejszy gmach w całym Pułtusku. Pożar tu już wygasł, wewnątrz jednak tliło się jeszcze. Zbliżyliśmy się do samego wejścia. Wnętrze kościoła mroczne było i ciemne, w głębi tylko świeciły jeszcze rozżarzone węgle, niby oczy jakichś nadprzyrodzonych istot, patrzących z pośrodka ciemności. Straszne było to wysokie, czarne wnętrze. Z głębi jego dochodził niby jakiś szmer, niby jakieś pozaświatowe szepty, niby westchnienia. Zdawało się, że tam jest pełno duchów, które wyszły z podziemi kościelnych, zdziwione, że ktoś zakłócił im sen odwieczny.

Przy kościele spaliła się i biblioteka. Podczas pożaru wicher porywał palące się książki i roznosił je, niby ogniste ptaki, na miasto i po za miasto. Palące się kartki papieru leciały aż za Narew, roznosząc postrach i pożar na wszystkie strony.

Kościoła prawie nie próbowano ratować, gdyż pierwej jeszcze zapaliły się otaczające go budowle. Gorąco było tu tak straszne, że gdy wreszcie zaplonął i kościół, ci, którzy nadbiegli go

ratować, zaledwie zdołali unieść życie, zostawiwszy na pastwę pożaru beczki z wodą i wszelkie narzędzia pożarne.

Naprzeciw kościoła stała ochrona dla starców. Obecnie sterczą po niej tylko trzy kominy i stos gruzów, z pomiędzy których przeświecają jeszcze żarzące się węgle.

Ogrom klęski przechodzi wszystko, co sobie można wyobrazić.

Od kościoła udaliśmy się z towarzyszem na rynek, aby od jednego ze znajomych zasięgnąć szczegółowych wiadomości. Noc już była zupełna. Na pogodnem niebie świecił pogodnie księżyc. Musieliśmy raz jeszcze przechodzić przez część miasta najbardziej spustoszoną, o której wspomniałem wyżej. Przy świetle księżyca wyglądała ona jeszcze straszniej i puściej niż o zmroku. Jednym wyrazem, określającym to miejsce, jest: okropność. Światło księżyca schodzi z jednego rumowiska, a wchodzi na drugie, rozświecając żałobne szczegóły. Wśród tej głuszy i martwoty, wśród fantastycznych rumowisk, wśród ciszy i niewytłómaczonych odgłosów, wśród bladych promieni księżyca i czarnych zwalisk, najodważniejsze serce ściska jakaś niepojęta trwoga. Zda się, że mieszka tu śmierć sama, taka śmierć, jaką przedstawiano nam w dzieciństwie: szkielet z pustemi jamami oczu i złowrogą kosą. Zda się, że wysunie się z pierw-

szego lepszego węgla, spojrzy ci w oczy i porwie cię za sobą w ciemność i nicość.

Jest to prawdziwe miasto śmierci.

Przebywszy je, weszliśmy w ulice, położone blizko rynku. I tu stoją całe szeregi domów spalonych, ale ściany ich trzymają się jeszcze i spoglądają na cię pustemi oknami, niby martwą źrenicą. Niektóre palą się, a raczej tlą jeszcze wewnątrz. Na ulicy stały tu i owdzie gromadki ludzi. Gromadki te rozmawiały z cicha. Spytałem ich, dlaczego nie gaszą tych domów, które się jeszcze nie wypaliły.

— A po co gasić? — odparł jakiś mieszczanin. — Już one i tak na nic. Żebyśmy mieli pomoc, jak się zaczęło palić — to co innego, ale teraz...

— A co zrobicie, jak z tych domów pożar rozszerzy się nanowo i ogarnie to wszystko, co się jeszcze nie spaliło.

— Ha! nic nie zrobimy. Źle mnie, źle i tobie. A zresztą to się i tak spali. Cały Pułtusk się spali. Na to już żadna siła ludzka nie pomoże.

Wszędzie taż sama apatya, taż sama bierna rozpacz i zdanie się na wolę żywiołu. Rynku jedna strona wypalona jest do szczętu, druga ocalała, dzięki szerokości placu. Naszego znajomego zastaliśmy w domu. Z całą uprzejmością udzielił nam wszelkich wiadomości. Prócz szpitala, ochrony, kościoła, biblioteki i progimnazyum,

z gmachów publicznych spalił się jeszcze sąd ze wszystkimi aktami, hypoteka, piękna bóżnica żydowska, dom, w którym mieściła się apteka, dom, w którym mieściła się księgarnia Rafalskiego, z której nie uratowano ani jednej książki, i około 500 innych prywatnych budowli. Pożar wszczął się między ulicą Kotlarską a Waliszewem. O przyczynach pożaru mówią rozmaicie: jedni przypuszczają podpalenie, inni wypadek, który tłómaczy się tem, że mieszkańcy, usunięci z mieszkań dla kwater wojskowych, gotowali jeść w stajniach i chlewach. Inni, nakoniec, twierdzą, że ogień ukazał się w piekarni żydowskiej, między ulicą Kotlarską a Waliszewem położonej. Która z tylu wersyi jest prawdziwą? niepodobna dziś orzec; wykryje to dopiero śledztwo sądowe, które zapewne wyjaśni także, dlaczego w czasie pożaru municypalność chodziła z rękoma w kieszeniach, zamiast ratować, a przynajmniej objąć kierownictwo ratunku.

Szkody obliczają dziś już na miliony rubli. Największe straty ponieśli mieszkańcy w towarach, które były nieubezpieczone, a których wartość wynosiła kilkaset tysięcy rubli. Dla mieszkańców miasta jest to klęska największa. Domy mogą się z czasem odbudować, ale to, co poszło nieubezpieczone z dymem i popiołem, pozbawiło na zawsze chleba niejednego z zamożnych jeszcze przed tygodniem kupców.

Również mniejsza jest strata w gmachach publicznych, niż w prywatnych. Gmachy publiczne, a zwłaszcza kościoły, jako leżące na placach, po większej części ocalały. Został kościół farny wraz z kanoniami, został Reformacki, kościół św. Magdaleny i dawny kościół Panny Maryi, obecnie ewangelicki; dalej ocalały: więzienie, poczta, biuro powiatu, stary ratusz, dawny zamek biskupi, dawny magazyn solny i koszary. Z prywatnych spaliła się za to tak ogromna większość, że o reszcie zaledwie wspomnę. Prócz jednej strony rynku, części miasta, zwanej Rybitwą, i części miasta ku Warszawie spaliło się wszystko.

Takie szczegółowe wiadomości zebraliśmy z towarzyszem moim na miejscu. O godzinie 12 ej wyszliśmy do znajomego znowu na miasto. Mimo spóźnionej pory, przed sieniami domów ocalonych stało mnóstwo ludzi. Wszyscy spodziewają się, że niedopalona reszta zapali się lada chwila, nikt zaś nie chce, żeby pożar zachwycił go podczas snu. Niektórzy bogatsi powysyłali swoje rzeczy z miasta aż za Narew; niektórzy nocują za miastem przy rzeczach, broniąc je od kradzieży. Kradzieży bowiem w czasie pożarów było takie mnóstwo, że niema prawie ani jednego mieszkańca, któryby znakomitej części rzeczy nie utracił. Wszyscy więc czuwają i wszyscy pilnują.

Rynek wyglądał zupełnie jak obóz. Ci, którzy nie pilnują domów po sieniach, ci, którzy nie mają nic do pilnowania, śpią spokojnie, jeżeli spokojnym można nazwać nocleg pod gołem niebem, często nawet bez siennika, a często i bez słomy, poprostu na kamieniach. Tam jedna nędza przytula się do drugiej.

Idąc, musieliśmy ciągle uważać, żeby kogoś nie nadeptać. Widok był dziwny i niezwykły. Tu ludzie śpią jak mogą, a tam się jeszcze miasto pali. Noc stała się ciemniejsza, więc i łunę widać było wyraźniej. Paliły się jeszcze niektóre domy w rynku, palił się jeszcze szpital i progimnazyum. Ale wogóle w mieście mało kto już zajmował się ratunkiem, tak dalece wszyscy byli znużeni. Wyszedłszy z rynku, nie spotkaliśmy już żywej duszy. Słyszeliśmy doskonale trąbkę przejeżdżającej ekstrapoczty, tak wielka była wszędzie cisza. Niedaleko poczty stał oparty o mur pijany człowiek i śpiewał: Ej! ej! ej! Zdaleka dochodziło wycie psów. Obok ruin i wycia psów — śpiew. Śpiew na zgliszczach! Ileż to kontrastów.

Na poczcie nie mogliśmy dostać koni, musieliśmy więc oczekiwać na kuryerkę, która miała przyjść o drugiej, a przyszła, mówiąc nawiasem, o czwartej. Po trosze drzemaliśmy, po trosze patrzali na miasto. Łuna nad szpitalem jaśniała jeszcze. Chwilami ciemniała, chwilami rozpalała

się nanowo. Tymczasem gwiazdy pobladły, latarnie przed pocztą poczęły różowieć i omdlewać. Poczęło szarzeć i świtać. Na wschodzie zabłysnął różowy pasek zorzy. Mogliśmy już wyraźnie odróżnić pobladłe z niewyspania i bezsenności twarze pasażerów, oczekujących na równi z nami na kuryerkę. Rozwidniło się tymczasem zupełnie, nim przyjechała. Wsiedliśmy, ozwała się trąbka pocztarska i — rzuciwszy ostatnie spojrzenie na nieszczęsne miasto, ruszyliśmy w drogę prosto do... redakcyi.

* * *

A teraz stój, czytelniku — jeszcze nie koniec: poczekaj na sens moralny tego opowiadania. Schowałem jeszcze jeden epizod, który *ad usum delphini* zamierzam teraz opowiedzieć. Kiedym, błądząc po zgliszczach i zwaliskach Pułtuska, zapalił cygaro, zbliżył się do mnie jakiś młody jeszcze, ubogo ubrany człowieczyna i tonem rozkazującym polecił mi je zagasić natychmiast. Zdziwiony tem niepomału, spytałem go o powody tego rozkazu.

— Mój panie, — odrzekł mi — mieliśmy dosyć nieszczęścia. Z pańskiem cygarem znowu pan gdzie zaprószysz ogień, i będziemy mieli nowy pożar.

Nie zrozumiałem wprawdzie, jak mogłem, nie zaprószywszy ognia poprzednio, zaprószyć go znowu, jak się wyraził ten człowiek, ale zgasiłem jednak cygaro i wdałem się z moim pogromcą w pogawędkę. Jak to, obywatelu?... każesz mi gasić moje cygaro w chwili, gdy w mieście palą się jeszcze gmachy, gdy słupy iskier tryskają co chwila złotymi strumieniami do góry, a wiatr je niesie i rozrzuca po dachach ocalonych domów? Każesz mi gasić moje cygaro, gdy pod każdym stosem gruzu leży drugi stos rozżarzonych węgli? każesz mi gasić moje cygaro na ulicy, w której nie ma się co palić, w której, gdybym był nietylko palaczem, ale nawet podpalaczem, nie zdołałbym już ognia zaprószyć? Mój Boże, co za ostrożność! co za ostrożność! A czytywałeś ty też, obywatelu «Chwilę Obecną?» a czy pamiętasz, ile razy w imię honoru, w imię poczucia obowiązku, w imię dobra ogółu, zachęcałem ciebie i podobne *animalia mammalia* do formowania ochotniczych straży pożarnych? Czy też w twej zakutej głowie, w której z czasem wróble będą gniazda kręciły, zakręciła się kiedy myśl, że trzeba i należy, że świętym obowiązkiem jest straż taką uformować i z toporem w dłoni biedz na ratunek bliźnim we dnie czy w nocy? — Nie. Zaiste nie! Wolałeś bić muchy na nosie, siedząc po całych dniach w miejscowej cukierni, wolałeś romanso-

wać z miejscowemi lafiryndami, wolałeś czernić wąsy trzygroszowym fiksatuarem, politykować na miejscowej poczcie, wypalać cygara okolicznych obywateli, wygładzać swój cylinder, wyciągać z za rękawów mankiety, czytać «Izabelę» i «Barbarę Ubryk», wolałeś to wszystko, cny obywatelu, obiecujący młodzieńcze, nadziejo na przyszłość, niż włożyć na głowę kawał blachy, zatknąć za pas siekierę i służyć swemu społeczeństwu w sposób najlepszy, w jaki możesz. Oto więc i masz! Kiedy się spali twoje miasto, kiedy kraj miliony straty poniesie, kiedy ty sam zostaniesz bez kawałka dachu nad głową, wówczas dopiero wyrośnie ci rozum, tam, gdzie poprzednio, dziw, że ci niepomiernie uszy nie wyrosły. Pamiętajcie, obywatele Mińska, Kałuszyna, Sochaczewa, Płońska i mnóstwa innych gubernialnych i powiatowych miast naszych, nie formujcie straży ogniowych, póki wam się miasta nie spalą! To tylko próżny wydatek. Bo jak się miasto spali, to przynajmniej jest dowód oczywisty, że straż jest wprawdzie złem, ale złem koniecznem. Wy myślcie sobie o czem innem: o arystokracyi, demokracyi, o biciu szos, o kwestyi wschodniej, o wojnie Anglii z ces. Birmańskiem — takie tylko bowiem sprawy są godne umysłów wielkich, na powagach miejscowych, niezbitych opartych.

Oto i wszystko, co wam miałem powiedzieć.

Naopowiadano mi się o niedołęstwie ratunku tyle, sam wreszcie widziałem tyle, że mam już dosyć. Ale widziałem i skutki tego. Wczoraj ludzie zamożni, dziś wyciągają rękę o kawałek chleba, który szlachcic z okolicy przysyła. Widziałem nędzarzy i żebraków; widziałem ojców rodzin płaczących nad losem dzieci; widziałem matki, które nie mogły karmić niemowląt, bo z głodu pokarmu im zbrakło; widziałem ruinę, zgliszcza, nędzę, rozpacz i łzy — i dlatego grożę jeszcze, i jeszcze ostrzegam, i jeszcze zachęcam, i uderzam jeszcze raz w tę opieszałość i niedołęstwo, której ofiary w Pułtusku miłosierdziu dobrych i kochających bliźniego ludzi polecam.

Gazeta Polska, 1875, Nr 163 z dnia 27 lipca.

XXIX.

Historya Muzeum Przemysłowego. — Ofiarność i jej warunki. — Składki na pogorzelców. — Deszcz. — Jedna szósta. — Stały teatr. — Jak można, wyjechawszy na wakacye, nie tracić dochodu w Warszawie. — Nudy. — Pan d'Auroche. — Fałszywa wieść o biurze stręczenia pracy. — Czy most, czy kanalizacya. — Komitet sanitarny. — Syrena. — Deszcz. — Zbiory. — Prawdopodobna ruina. — Kapitał i ziemia. — Videant...

Historya Muzeum przemysłowo-handlowego nie przestaje dotąd być pięknym snem, który śnił się i śni dotychczas prasie, ale który z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. W swoim czasie, kiedy projekt ten powstał, zdawało się, że niech tylko przyjdzie pozwolenie, a natychmiast założymy takie muzeum, jakiego dotąd świat nie widział. Mówiono o funduszach, które na ten cel już miały być złożone; w zapale głoszono nawet, że i pozwolenie już istnieje; wcześnie rozrzewniano się bezpośrednim wpływem muzeum na podniesienie handlu i przemysłu,

nakoniec pozwolenie przyszło, i na tem się wszystko skończyło. Co większa, pokazało się, że niema pieniędzy, niema lokalu, niema ludzi chętnych do ofiar i pracy, niema okazów w każdem podobnego rodzaju muzeum koniecznych, słowem, jak to mówią, niema tego zrobić ani czem, ani gdzie.

Oczywiście rzecz taka dałaby się przywieść do skutku tylko ofiarami ze strony ogółu, ale cóż robić, kiedy najofiarniejsze na świecie miasto, jakoś niezbyt okazało się pochopnem w tym wypadku. Na nieszczęście dla muzeum, niema w sprawie jego założenia nic, coby wstrząsało nerwy miasta, nic efektownego; jest to poprostu tylko pożyteczne. Najofiarniejsze miasto nie rozczula się w takim razie. Nie było przytem na dochód tego muzeum żadnego balu, na którymby ofiarność kawalerska mogła się wytańczyć z ofiarnością panieńską, a ofiarność ojcowska i macierzyńska przedrzemać na kanapach sali balowej. Niech to nikogo nie dziwi; nasze miasteczko właśnie dlatego nazywa się: najofiarniejsze, że u nas potrafią nawet drzemać na dochód rozmaitych spraw, mających większy lub mniejszy związek z dobrem ogółu. Drzemać na cele publiczne — czyż może być rozkoszniejsza drzemka na świecie, a zarazem czyż może istnieć sytuacya, w którejby milej było popuścić uczuciom obywatelskim wodze?

Równa się to chyba rozkoszy pożywania publicznych obiadów, wydawanych z okazyi rocznic i jubileuszów rozmaitych instytucyi, na których to obiadach członkowie odkrywają w sobie wzajemnie, a równie niespodziewanie jak szczęśliwie, przymioty, przypominające złoty wiek ludzkości. Ale znowu na nieszczęście dla muzeum, nie było z jego powodu żadnego obiadu. Nikt nikogo nie nazwał naszym znanym, nikt nie wznosił żadnych toastów; tak jest, nie było obiadu, więc nikt nie rozrzewnił się, nie rozpłakał, nikt przy jego końcu nie rozpinał kamizelki, by dać swobodniejszy oddech piersiom rozpieranym przez nawał ofiarno-publicznych uczuć, krótko mówiąc: nie było na dochód muzeum ani balu, ani koncertu, ani obiadu, ani fantowej loteryi, ani odczytów, pogrążających w ciągu jednej godziny głowy słuchaczów razem z ich uszami w oceanie wszechwiedzy i wszechmądrości — nie było ani tomboli, ani bazaru, więc niema i muzeum. Przepraszam, była jedna tylko rzecz: było w prasie głębokie poczucie potrzeby i pożyteczności takiego muzeum — ale to dla nerwowego miasta nie wystarcza.

Co prawda jednak, należy wyznać, że składki na pogorzelców ostatnich pożarów w Pułtusku, Opolu i Końskiej Woli poszły wcale nieźle. Złożono już dotychczas kilkadziesiąt tysięcy złotych, co zapewne przyniesie niemałą ulgę nie-

szczęśliwym, nie mającym ani dachu nad głową, ani kawałka chleba do zaspokojenia głodu. Dowodzi to jednak, że ogół nasz ma serce, i że zwłaszcza w chwili wzruszenia, gotów jest nie żałować datku. Szkoda tylko, że chwila taka nie trwa nigdy zbyt długo, i że raczej jest uniesieniem na razie, niż spokojnem, ale trwałem poczuciem obywatelskiego obowiązku. Niemałą także, lubo nie tak wielką, jak się spodziewano, pomoc przyniosły przedstawienia w teatrzykach ogródkowych. Na nieszczęście w czasie przedstawień w Eldorado i w Alhambrze padał deszcz, i to deszcz ulewny, co zmniejszyło liczbę widzów. Wystawiać się na niszczące działanie wody dlatego, że Pułtusk uległ niszczącemu działaniu ognia, wydało się Warszawianom zbyt hazardowną igraszką z żywiołami.

Dochód ten byłby nawet nic nie znaczący, gdyby nie to, że ze względu na cel przedstawień, teatrzyki były uwolnione od płacenia jednej szóstej dochodu brutto, opłacanej teatrowi stałemu.

Prawdę rzekłszy jednak, gdyby nie teatry ogródkowe, w Warszawie byłyby takie nudy, że ci wszyscy, którzy jeszcze zostali, poucielialiby napewno choćby do Łukowa, który, jak dowiadujemy się, wytworzył sobie w tych czasach własny teatr amatorski. Czasy ogórkowe są u nas obecnie w zenicie. Przyjechał wpraw-

dzie niejaki pan d'Auroche, który mówiąc nawiasem, gdyby umiał po polsku, śmiało za Polaka nazwiskiem Dorosz mógłby uchodzić. Ten pan Dorosz pokazuje, jak tworzyła się ziemia, zwierzęta przedpotopowe, rośliny i niektóre inne rzeczy, które były niegdyś i znikły. Rzeczy to już dobrze znane i pokazywane nieraz, ale że w mieście nudno i brak nowin, znajdują swoich ciekawych.

Do wielkich nowin czasów ostatnich należała wieść o uformowaniu się biura stręczącego pracę. Doniósł o niej pierwszy *Kuryer Codzienny*, a powtórzyła i nasza gazeta. Na nieszczęście jednak, wieść ta okazała się zupełnie bezzasadną. Żadne takie biuro nie powstalo, i nikt o jego założenie się nie starał. Wieść ta nie była nawet balonem próbnym, ale poprostu racą, która wyleciała w górę nie wiadomo z czyjej głowy, pękła, narobiła huku, dymu i blasku, a potem zgasła. Że jest wielu ludzi, umierających z głodu z powodu braku pracy, że biuro takie byłoby jedną z najbardziej filantropijnych instytucyi, o tem nikt nie wątpi; ale pewniki te nie więcej się dotąd do założenia podobnej instytucyi przyłożyły, niż np. wzdychania do kanalizacyi miasta do zaprowadzenia tejże kanalizacyi.

Przypominamy sobie, że niegdyś, nie bardzo nawet dawno, zawzięcie kłócono się o to: czy

trzeci most, prowadzący z Warszawy na Saską Kępę, czy kanalizacya? Nakruszono z tego powodu niemało piór i rozlano niemało atramentu; otóż rzeczywistość pogodziła nas w ten sposób, że dotychczas nie mamy ani trzeciego mostu, ani kanalizacyi, i że muchy się nawet ani na jedno, ani na drugie nie gonią. Cobyście np. powiedzieli, czytelnicy, o dwóch szczękających z zimna i zaledwie okrytych biedakach, którzyby się pobili o to: czy cieplej jest chodzić w zimie w sobolach, czy w gronostajach? A jednak podobne walki zdarzają się u nas często. Z powyższej odnieśliśmy tę naukę, że lepsze od mostu i od kanalizacyi są pieniądze, o których użycie dość jest kłócić się wtedy, kiedy już są. Obecnie, zamiast mostu, mamy suche koryto Wisły, zamiast zaś kanalizacyi specyalny tutejszo-miejski zapaszek, który kręci nas za nosy, jak sam chce, i który sprawi, że świeżo zawiązany komitet sanitarny będzie miał u nas cztery razy więcej roboty niż we wszystkich krajach europejskich.

O komitecie tym, nic więcej prócz tego, że został uformowany, powiedzieć nie można. Jakie będą jego szczegółowe czyny i przedsięwzięcia? przyszłość pokaże. Niektórzy mają nadzieję, że właśnie ów komitet zajmie się przeprowadzeniem, czyli przyprowadzeniem do skutku kanalizacyi. Daj Boże, ale wątpimy. Spodziewamy

się wprawdzie, że komitet ten nie zacznie prac swoich wzorem opiekuńczego komitetu, który miał czuwać nad przyszłym Zwierzyńcem, a który zaczął od tego, że wydał wyrok śmierci na zwierzęta; spodziewamy się, mówiąc wyraźniej, że komitet nie każe zanieczyścić miasta dlatego, żeby miał potem co oczyszczać; ale z kanalizacyą trudna sprawa. Komitet nie przeprowadzi jej przecież za własne pieniądze, a innych niema — chybaby nasza Syrena chciała zaciągnąć na ten cel pożyczkę, co przy jej środkach i kredycie nie jest rzeczą ani łatwą, ani nawet bezpieczną.

Prawdziwe to dziecię natury ta nasza Syrena. Naprzód — niech mi wybaczą czytelniczki — goła jest jak... święty turecki, a przytem, jak większość dzieci natury, brudna tak, że o zakładby pójść można, że brudniejsza Syrena nie egzystowała nigdy na świecie. Sama się myć nie ma zwyczaju — myją ją tylko deszcze niebieskie, te deszcze, które tak obficie w ostatnich czasach skrapiać ją poczęły. Jest to dla niej arcy pomyślna okoliczność, ale i deszcz, jak wszystko na świecie, ma dwie strony. Płócze miasta, to prawda, ale jednocześnie jakże okropnie wypłókuje kieszenie wieśniaków! Zewsząd dochodzą nas niepomyślne wieści. Sprzęt zbóż wogóle był utrudniony, a w wielu miejscach na garściach wszystko porosło. Klęska

nie jest tak wielką wprawdzie, żeby groziła głodem, ale przy dzisiejszym stanie finansowym obywateli wiejskich, najsłabszy nawet cios może zerwać tę wątłą, niby pajęczą nić, na której część majątków jest zawieszona.

Towarzystwo niemal co miesiąc ogłasza długie listy poległych na polu walki z ratami majątków; parcelacya, ta ostatnia dla wielu deska ratunku, utrudniona przez sumy Towarzystwa i hypoteczne; kredyt upadł.

Wogóle jest pewnikiem, że tam, gdzie kapitał użyty do produkcyi większego wymaga do opłacenia procentu, niż go może przynieść sama produkcya — tam ruina jest tylko kwestyą czasu. Ta prosta, a zarazem i straszna prawda zawisła, niby miecz Damoklesa, nad krajem. Niech mnie posądza kto chce o pesymizm, ale powtarzam jeszcze raz, że w tych warunkach rolniczych, przy dzisiejszym stanie kredytu, przy dzisiejszym stosunku kapitału do ziemi, ruina stanie się prędzej czy później powszechną.

Co potem będzie? kto się rozsiądzie w tych białych dworach, które z pośrodka lip patrzą na przechodnia? czyje pługi będą orały urodzajne, ale wysilone skiby ziemi? czyja siekiera przetrzebi do reszty i tak już przetrzebione lasy nasze? — łatwa odpowiedź. Kto jej nie może znaleźć, niech spojrzy na sąsiednią nam prowincyę Poznańską.

Ale jakaż jest rada? czy zło istotnie jest nieuleczone? Kredyt przy dzisiejszym procencie od kapitału trudny jest i niebezpieczny. Parcelowanie ziemi z innych względów niebezpieczne, często niemożliwe, zawsze najeżone przeszkodami; oszczędność, zaparcie się wygód, potrzeb, zaparcie się niejako własnej osoby — może już za późne — może to tylko półśrodek.

Kwestya to paląca, warta najgłębszego namysłu i najściślejszej dyskusyi. Co do mnie, nie pragnąłem jej wyczerpać. Nie tu czas ani miejsce. Pragnąłem jej dotknąć — i uczyniłem to. Pragnąłem zwrócić na nią uwagę.

Gazeta Polska, 1875, Nr 169 z dnia 4 sierpnia.

XXX.

Urodzaj na komitety. — Najnowsze pogorzelowe. — Miejscowy i warszawski. — Widowisko w cyrku. — Widowisko w Eldorado. — Członek zbyt gorliwy, czy zbyt ostrożny. — Nawał zajęć. — Nie można dwóch srok naraz chwytać. — Bis dat, qui cito dat. — Pomoc i jej warunki. — Historya o wróblach. — Filantrop i biedak, czyli ludowa logika. — Marudztwo. — Nienowa historya. — Pożar wczorajszy. — Straż i strażacy. — Ich zabawy. — Opowiadanie pułkownika. — Ratunek. — Kolej konna i publiczność, czyli coś nigdzie nie bywałego. — Nasze ultimatum. — Zabawa na Pradze. — Szpital na Pradze. — Warszawa. — Wielki człowiek w przejeździe. — Bitwa pod Sedanem i miejscowe komentarze. — Koniec.

Komitety mnożą się w ostatnich czasach u nas jak grzyby. Niedawno zawiązał się komitet sanitarny; również niedawno wspominaliśmy o sławnym komitecie opiekuńczym, który miał za zadanie założyć ogród zoologiczny, a który pozytywną działalność rozpoczął od wyroku śmierci na zwierzęta p. Bartelsa; obecnie mamy znów komitet pogorzelowy, którego zadaniem

jest uorganizowanie pomocy i rozdział funduszów zebranych przez redakcye na korzyść pogorzelców Pułtuska, Opola i Końskowoli. Pamiętam, że podczas mej bytności zaraz po pożarze powszechne były skargi na brak ratunku; myślę więc, że skoro nie ratowano miasta, kiedy się paliło, niechże więc przychodzą mu w pomoc, gdy się już spaliło. Istotnie, lepiej późno niż nigdy. Jest to przytem to, co Francuzi nazywają robieniem dobrej miny w złej grze. Wprawdzie gorliwość ta wydałaby o wiele zbawienniejsze owoce, gdyby była wcześniejsza, obecnie jednak trzeba pić takie piwo, jakiego się sobie nawarzyło.

Co do widowiska w cyrku, przyniosło ono plon obfity, odbyło się zaś tak, jak odbywają się wszystkie podobne widowiska. W środku cisnęła się strojna i hojna publiczność; grano, śpiewano, zbierano oklaski, wsławiano się; w sieni sprzedawały się programy, które znajomi, dostrzegani czujnem okiem dam sprzedających, musieli kupować. Staranność widowiska była wielka, koszt przedstawienia, dzięki zabiegłości komitetu i dobrej woli ludzkiej, prawie żaden, więc też i zyski znaczne. Mniej sprawności okazano w czuwaniu nad widowiskami dawanemi w teatrzykach ogródkowych. W Eldorado naprzykład, w dzień przedstawienia przybył jeden z członków i, ze zbytku gorliwości zapewne,

w kontrolowaniu sprzedaży biletów, zabrał je wszystkie z sobą, i tłómacząc się, że jak każdy człowiek, tak i członek ma swoje zajęcia, poszedł z nimi do domu, czy też do biura. Tymczasem przychodzili ludzie, rozpytywali się o bilety, a tu członka jak niema tak niema. Przyszedł wreszcie wieczorem, ale kasa została przez to otwarta zbyt późno. Wiele z tych osób, które przychodziły w chęci kupienia biletów, nie powróciło już po nie raz drugi, godzi się bowiem przypuszczać, że te osoby, jakkolwiek nie piastujące może honorowych urzędów w żadnym z istniejących u nas komitetów, miały także swoje zajęcia, nie pozwalające im latać po kilka razy po jedne i też same bilety. Skutkiem tego i całe przedstawienie wypadło mniej pomyślnie, niż mogło wypaść, tembardziej, że wieczorem zachmurzyło się niebo i groźba deszczu zawisła nad pogorzelców widowiskiem. Zbyt ostrożny i zbyt przeciążony zajęciami członek zwichnął sprawę. Miło jest wprawdzie należeć do komitetu; miło jest pomyśleć sobie: «Jestem mężem zaufania i cały ogół ma na mnie zwrócone oczy»; miło jest być nazywanym: n a s z z n a n y z d o b r o c z y n n o ś c i i p o ś w i ę c e n i a; miło jest ujrzeć po śmierci z nieba swój portret, wyryty w ilustracyi na ziemi, z obszernym życiorysem; milej jeszcze jest ujrzeć swój portret nie drzeworytowy, ale olejny, zawieszony w salce

Towarzystwa Dobroczynności, który miejscowe, tuczone zupą rumfordzką muchy pstrzą, jak im się tylko podoba, a okazowe dziady i baby podziwiają z palcem na ustach; miłe, powiadam, jest to wszystko, ale właśnie dlatego, nie trzeba się zbyt przeciążać zajęciami. Kto dźwiga na sobie ciężar miłosierdzia publicznego, niechże go dźwiga obu ramionami. Nie można jedną ręką podtrzymywać upadającą ludzkość, a drugą chwytać za ogon własną, czysto prywatną srokę. Skutek tego taki, że i sroka ucieknie i upadająca ludzkość rozbije nos o kamienie. Taka jest moja rada i takie moje obawy. Nie będę się sprzeczał, że każdy człowiek ma swoje zajęcia, kto ich jednak ma tyle własnych, że nie pozwalają mu zająć się jak należy publicznemi, niech dla platonicznego tytuliku ich nie tyka, inaczej i jedne i drugie na szwank narazi.

Ale to jeszcze nie wszystko. Łacińskie przysłowie mówi: *Bis dat, qui cito dat,* co się da także na język polski przełożyć i w ten sposób, że wszelka pomoc, aby była skuteczna, musi być natychmiastowa, inaczej nic nie warta. Tymczasem, ile wiem, pieniądze uzbierane z widowisk i składek, pościel, bielizna i ubiory, ponadsyłane przez prywatnych, w chwili, gdy piszę te słowa, nie są jeszcze odesłane na miejsce. Zwłoka ta jest, co prawda, dla mego prostac-

kiego umysłu niezrozumiała, sądzę nawet, że podobny ratunek jeśli nie jest natychmiastowy, jest poprostu chybiony. Gdy już każdy z pogorzelców utuli się, gdzie kto będzie mógł, gdy już każdy przyodzieje się, jak będzie mógł, gdy ten i ów znajdzie jaki taki zarobek, gdy większość opuści z głodu i chłodu zgliszcza rodzinnego miasta i rozejdzie się po okolicy, wówczas pomoc będzie albo musztardą po obiedzie, albo co gorsza, wykałaczką do zębów, ofiarowaną równie litościwie jak wspaniałomyślnie temu, kto nie jadł obiadu. Znamy dobrze historyę o dwóch wróblach: jeden zdychał z głodu, a drugi poleciał dla niego po wiśnie, ale że jakoś się zamarudził, więc gdy wrócił, zastał przyjaciela do góry brzuszkiem leżącego. Zalewałem się nieraz łzami nad losem nieszczęsnego wróbla; otóż obawiam się, aby nam nie przyszło zalewać się łzami podobnie nad losem niejednego Pułtuszczanina. Kołdra jest okryciem bardzo miłem i ciepłem, ale tego, kto zmarł z zimna, można już śmiało zostawić w letnim kostiumie. Tak, moi panowie, a zarazem i łaskawi czytelnicy! Budować owczarnię dla owiec, które poprzednio wilki wydusiły — jest przedsięwzięciem, przypominającem chyba filantropijną budowę szpitala miechowskiego, w którym jest wszystko, tylko na utrzymanie chorych nie starczyło. Gdyby upusty komitetowego miłosierdzia otwierały się

co każde sto rubli, jakie skutkiem składek napływały, sądzę, że tej chłodzącej wody więcej spragnionych mogłoby się napić. Składki płynęłyby swoją drogą, i w miarę jakby się zbierały, możnaby je stopniowo odsyłać na miejsce. Lubimy marudzić, to nasza wada. Jak będziesz się uczciwie sprawiał, to nie będziesz goły i będziesz syt — mówił pewien filantrop do pewnego mizeraka, który chudy był jak treść niektórych prelekcyi dobroczynnych i świecił łokciami nakształt dyetaryusza naszych prywatnych i publicznych instytucyi. — Nie, proszę pana — odpowiedział on nieborak — jak nie będę goły i będę syt, to się będę dobrze sprawował. — Nazywa się to w ludowym języku: przewrócić barana do góry nogami. Jak się więcej zbierze, więcej dostaniecie — mówimy Pułtuszczanom. — Nim się więcej zbierze, pomrzemy z głodu — mogliby nam odpowiedzieć; nim się więcej zbierze, spali się jeszcze jakich kilka miast, i mniej dostaniemy. Och! odpowiedziby nie zbrakło. Tak! lubimy marudzić. Historya podobna nie pierwszy raz trafia się w Warszawie. Pamiętam, parę lat temu była powódź, Wisła wylała; od tej powodzi szczególniej ucierpiała Praga. Składki były znaczne, znakomite nawet; utworzył się jakiś komitet, nie pamiętam już z kogo złożony, i pomoc doszła powodzian akurat jakoś w pół roku, mniej więcej wtedy, kiedy zapomniano już o po-

wodzi, choćby dlatego, że woda na Wiśle była starej gęsi po kolana, jak mówi przysłowie. Pamiętam, że z miesiąc po powodzi mieszkańcy domów pobrzeżnych gnieździli się w jakichś konarach czy czemś podobnem, jeden na drugim, po stu w jednej izbie. Właśnie wtedy komitet składał sesye.

Wspomniałem o możliwości nowych klęsk ogniowych. Nie przesadziłem nic a nic, moi czytelnicy. O pożar latem łatwo. Nie dawniej niż wczoraj, a raczej dziś, bo z poniedziałku na wtorek, straże nasze były zaalarmowane łuną pożarną. Wywieszono latarnie na wieżach, i wkrótce głuchy turkot pędzących po historycznym naszym bruku wozów oznajmił, że straż bieży na ratunek. Śliczny i malowniczy to widok, gdy wśród nocy dzielna ta straż — to oko w głowie Warszawy i chluba nasza — biegnie do walki z żywiołem. Po ulicach migają krwawe światła kaganków; brzmią okrzyki torujących drogę konnych strażaków; dźwięczą łańcuchy; turkot wozów huczy nakształt podziemnego grzmotu; rozlega się szelest i rżenie koni, a straż cała w złoconych hełmach, z toporami za pasem, w towarzystwie kominiarzy, biegnących niby złe duchy za wozami, pędzi, świeci, krzyczy i znika z przed oczu, jakby jaki orszak piekielny, zarówno gwarny, jak straszny.

Do jakiego stopnia dochodzi odwaga i lekce-

ważenie życia tych ludzi, dowodem niech posłużą ich zabawy i zakłady. Podrzucać pochodnię rozżarzoną w górę i łapać ją jedną ręką, jest dla nich igraszką. Czybyście uwierzyli, czytelnicy, temu, czemu i ja wierzyć nie chciałem, że zdarzyło się, iż o zakład skakali z wieży strażniczej na ziemię. A jednak opowiadał to zmarły zacny pułkownik Majewski, dowódca straży. Przychodzę raz — mówił — i słyszę, że się zakładają o dziesiątkę, kto zeskoczy z wieży. Krzyknąłem na nich: «Dałbym ja temu, ktoby się ośmielił, ktoby spróbował!» Aż tu występuje jeden młody chłopak, sprawny wisus, zgrabny jak kot; występuje, salutuje i mówi: — Panie pułkowniku, to nie trudno. — A próbowałeś? — Albo raz. — Co ty powiadasz, trutniu? — Próbowałem, panie pułkowniku, i jeśli pan pułkownik pozwoli... — Zabijesz się, nie pozwolę. — Nie zabiję się. — Pamiętaj, że licho cię porwie. — Młody strażak chwycił za miotłę z drągiem i znikł. Wkrótce ujrzano go na wieży. — Stój! pójdź tu natychmiast! — zawołał pułkownik! — Według rozkazu idę, pułkowniku! — odkrzyknął strażak, chwycił miotłę silnie rękoma, ścisnął ją kolanami i rzucił się z balkonu. — Pułkownik zamknął oczy i nie śmiał ich otworzyć; aż tu nagle zabrzmiał mu nad uszami znany głos: — Jestem, panie pułkowniku! Dowódca spojrzał:

młody chłopak stał przed nim wesoły, rumiany, uśmiechnięty, z miotłą w ręku.

Dzielny pułkownik dał mu dwadzieścia pięć rubli za nagrodę, i jeszcze kazał dać dwadzieścia pięć... ale nie rubli, żeby zbyt często szczęścia nie próbował.

Sztuka, jak mówił, polega na tem, że spadający uderzał naprzód o ziemię miotłą, odbijał się i spadał już tylko z odbicia, pędem zupełnie osłabionym.

Tacy to są strażacy.

Wczoraj pożar wybuchnął nie w obrębie miasta, ale tuż za rogatkami Belwederskiemi, w cegielni. Spaliła się szopa, pod którą suszą się cegły, a raczej nie spaliła się zupełnie, bo nie pozwolił na to ratunek. Byłem przy ogniu i patrzałem, jak się rzecz odbywała.

Przyjechałem prawie równo ze strażą; ale nim zdążyłem wysiąść z dorożki, już promień wody zalewał buzujące się płomienie, a nad dachem błyszczały topory strażaków. W pół godziny dach był zerwany, sąsiednie dachy zmoczone wodą, jak w czasie największej ulewy; płomienie zalane zgasły, zrobiło się ciemno, czarno. Tylko dymy snuły się nieśmiało i czołgały, jakby obawiające się strażników, przy ziemi. Świeciły tylko kaganki przy beczkach i pochodnie.

Gdyby to tak w Pułtusku, taka straż! gdyby

w Siedlcach, Międzyrzycu, Końskowoli, Opolu *et caetera, et caetera!!!*

W Warszawie o niczem innem nie mówią, tylko o pogorzelcach, składkach i tym podobnie. Fakty te i rozmowy tak dalece pochłaniają wszystkich, że nikt nie zwraca uwagi na nic innego. A jednak dzieją się u nas rzeczy nadzwyczajne, jakie nie dzieją się nigdzie na świecie, godne zarówno kronikarskiego, jak publicznego oka.

Jedną z takich ciekawych historyi jest historya naszych omnibusów kolejowych, czyli kolei żelaznej konnej. Omnibusy te nie dowożą już pasażerów na kolej Terespolską. A czy wiecie dlaczego? Nie. Więc słuchajcie, jak mówi pan Jowialski. Oto pewnego razu omnibus taki jechał z przed Bernardynów do kolei Petersburskiej, a następnie do Terespolskiej. Nagle tuż za mostem omnibus zatrzymuje się, konduktor zagląda przez drzwiczki i mówi:

— Wysiadać.

— Co to jest? my jedziemy do kolei Terespolskiej — wołają pasażerowie.

— Nie pojedziemy do kolei Terespolskiej — odpowiada ze spokojną godnością dygnitarz, zbrojny w blaszaną puszkę.

— Dlaczego?

— Bo na drodze stoją trzy wagony.

— To każ pan odjechać trzem wagonom.

— Trzy więcej znaczą niż jeden. Wysiadać!!

Pasażerowie przekonani z pomocą arytmetyki, wysiadają i śpieszą do owych trzech wagonów, przy których znajdował się jakiś drugi dygnitarz od tejże konnej kolei. Przybiegłszy, pytają o powody.

Pytają o powody!! Co za zuchwalstwo! Dygnitarz wysuwa naprzód wargę i patrzy na suplikantów wzrokiem, w którym maluje się zdumienie. Onby miał odpowiadać! On dziwi się sam sobie, że dotąd nie obrócił w proch zuchwalców. Zastanawia się przez chwilę; następnie obraca ich w proch, i nie odpowiada, bo do prochów, jak wiadomo, niema co mówić.

Prochy jednak skarżą się, dopominają o zwrot pieniędzy, narzekają na zawód.

Dygnitarz wybucha!

— Jak nazwisko tego, który tu najgłośniej krzyczał? — woła z wysokości swego majestatu.

Człowiek, który najgłośniej krzyczał, blednie. «Oho! już po mnie — myśli sobie. — Obrazić takiego człowieka. Któż go tam wie, co to za jeden? Może to... (tu następuje szereg przypuszczeń) takie ma świecące guziki... A nuż każe wziąć do kozy?»

Nieszczęśliwy nie przewidywał, że stanie się nierównie gorzej. Aleksander Macedoński obra-

ził się na mieszkańców Tyru — to wiadomo z historyi Skrzypińskiego — dygnitarz omnibusowy gniew swój przeniósł z jednego mieszkańca na wszystkich mieszkańców Warszawy i postanowił ich ukarać.

Obecnie kara dokonywa się.

Omnibus kolejowy od owego pamiętnego dnia nie chodzi już wcale na kolej Terespolską.

Wszyscy cierpią dlatego, że ktoś ze świecącymi guzikami obraził się na kogoś bez świecących guzików. Niepodobna przypuścić, żeby to były inne powody tej przerwy w komunikacyi, bo przerwa nastąpiła ściśle od dnia obrazy, od owego dnia, który jako *dies irae* długo popamiętamy.

A co? czy nie prawda, że tylko u nas przytrafiają się podobne rzeczy? Myśmy sądzili dotychczas, że magistrat oddał eksploatacyę drogi konnej Towarzystwu drogi Petersburskiej, na warunkach, aby omnibusy łączyły trzy dworce kolei żelaznej; pokazuje się, że myliliśmy się najfatalniej. Widocznie agent wysyłał tylko z łaski omnibus aż do kolei Terespolskiej; widocznie był to wielki filantrop i wielki dobroczyńca kraju, dbał o jego komunikacye — przyczyniał się zatem do rozwoju przemysłu, handlu, a myśmy go obrazili tak niebacznie! Cóż więc dziwnego, że wielki mąż wstrzymał zdrój łask? Pytanie: co teraz będzie?

Na wszelki wypadek, prosimy Towarzystwo drogi Petersburskiej o łaskawą i nie późną, ale natychmiastową odpowiedź.

Inaczej poświęcimy mu wiele jeszcze ustępów, równie pełnych uwielbienia dla porządku panującego w jego przedsięwzięciach. Oto nasze ultimatum.

Jesteśmy na Pradze, więc pomówmy o Pradze. W niedzielę odbyła się tam lot... chciałem powiedzieć nie loterya, ale zabawa kwiatowa w parku Aleksandrowskim, która właśnie miała w sobie to nowego, że nie było na niej loteryi. Mojem zdaniem, zupełnie to słuszne. Loterye, bądź co bądź, zwłaszcza na ludzi prostych, mniej wykształconych, i na dzieci wywierają wpływ do pewnego stopnia demoralizujący; że zaś zabawy podobne mogą się bez nich odbyć, dowodem niedzielna, która, lubo pozbawiona tej przynęty, była jednak dość liczna, i wogóle powiodła się nieźle. Dochód z niej przeznaczony jest na szpital praski, na ten ubogi przytułek wszelkiego rodzaju biedaków, na tę poczciwą gospodę cierpiących, która często bywa dla nich ostatnią gospodą w życiu. Zasiłek to niewielki wprawdzie, nie na długo wystarczy, ale zawsze to coś znaczy. W każdym razie pamięci ludzi uczciwych i prawdziwie, nie na efekt, miłosiernych, polecamy tę pożyteczną prawdziwie i chrześcijańską instytucyę.

Wróćmy do Warszawy. Cóż mam więcej wam o niej powiedzieć? A, prawda! O mało nie zapomniałem. Miasto nasze ma zaszczyt mieć w murach swych wielkiego artystę. Jest nim niejaki pan Clementini, Wenecyanin, który grywa na harmonijce, ale: nie rozchodźcie się! — jak mówią studenci, nie myślcie, żeby na takiej harmonijce, jak u nas stróże grywają co niedziela: «Sułtanem to być los!» — o nie, wcale. Pan Clementini grywa na dwa razy większym instrumencie, a przytem podnosi oczy w niebo, to je zamyka, to rzuca głową w tył, to brodę podaje naprzód, słowem pozwala się w zupełności owładnąć natchnieniu i robić z sobą, co się mu (t. j. natchnieniu) podoba.

Naturalnie, że tak wielki człowiek nie mógł umyślnie przyjechać do tak nędznego, jak nasze, miasta, ale bawi tu, wedle doniesień afiszów, tylko w przejeździe do jakiegoś ogromnego grodu, bodaj czy nie do... Pacanowa. Produkuje się zaś w Eldorado w międzyaktach, gdzie wstrząsa nerwy i dusze słuchaczów utworem własnej kompozycyi, zatytułowanym: «Bitwa pod Sedanem». Słyszałem nader charakterystyczną sprzeczkę, którą jak następuje wam powtarzam.

Artysta wychodzi na scenę. Natchnienie porywa go, skutkiem czego artysta krzywi się jak środa na piątek, wznosi oczy w górę, wzdy-

cha i poczyna grać. Instrument wydaje tony, podobne do odgłosu, jaki sprawia woda deszczowa, ciekąca z rynny.

— Co to jest? — pyta się ktoś za mną.

— Hm! — odpowiada drugi głos: — ja byłem na wojnie, to ci wytłómaczę.

Woda wciąż cieknie.

— Ja myślę, że to żołnierze czyszczą broń — lufy — myślę — czy co? A może to narada jenerałów, tylko nie wiem czy pruskich, czy francuskich.

Woda wciąż cieknie.

Głos pierwszy. Ale to coś długo trwa.

Głos drugi. Prawda.

Instrument sprawia odgłos, jakby ktoś łamał patyki, a potem odzywa się trąbka.

Głos pierwszy. Oho!

Głos drugi. Odwodzą kurki i trąbią. Zaraz będą strzelali.

Instrument strzela.

— Masz tobie, otóż i bitwa. Słyszysz? Teraz słychać bębny. W tej chwili biorą do niewoli Napoleona.

Instrument poczyna sapać, poczem wydaje głos:

— Trrr! trrr! trrr!

— Co to?

— A toż mu dali! To bębny po zwycięstwie. Nie! co ja mówię. To Napoleon. Aha! stchórzył!!

Instrument, jak wyżej.

W ten sposób, człowiek obdarzony silną wyobraźnią może sobie bez żadnego niebezpieczeństwa widzieć bitwę pod Sedanem. Ale dlaczego pod Sedanem? Można sobie i jaką inną wyobrazić. Wszystko jedno. Właśnie to jest dobre w tem wszystkiem, że każdy słyszy to, co chce. Naturalnie, że po takiej bitwie i po w porę zaaplikowanym do uszu słuchaczów wystrzale zrywa się cała burza oklasków, artysta zaś kłania się zlekka, przeświadczony, że oklaski te nie są czczą grzecznością, ale podziwem i zachwytem z głębi serca płynącym.

Dziwi nas tylko, że Eldorado użyło tak wielkiego człowieka tylko do wypełnienia międzyaktów. Eldorado wprawdzie dla siebie dobrze zrobiło, bo kto ma iść na piwo, ten i tak sobie pójdzie, kto zaś chce zostać, ten się w międzyaktach nie nudzi. Zresztą nikt nikogo nie zmusza. Można być jak u siebie. Eldorado więc dobrze zrobiło, tylko jakże można tak pospolitować taką wielkość!

On przecież bawi u nas tylko w przejeździe.

Założylbym się, że w Pacanowie lepiej go ocenić potrafią.

Tyle jak na dziś spraw bieżących.

Gazeta Polska, 1875, Nr 174, z dnia 10 sierpnia

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO DZIEWIĄTEGO.

LP
S5724
486117
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.59

DATE.

NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET